



## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

### PRENUMERATA „PRAWDY“

(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2, k. 50, rocznie rs. 10.

**Adres:** Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

**Administracja** otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

**Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

**Rękopisy** drobne nie zwracają się.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracja **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

**Sprzedaż pojedynczych numerów** po k. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

**T R E S C:** *Polityka:* Meeting londyński. — Tydzień polityczny. — *Odcinek:* Sylwetki historyczne z XVII w. Kobiety w obłożonym przez Turków Kamieńcu, p. dr. Antoniego J. — *Życie społeczne:* Pokłosie sejmowe, p. Beta. — Listy krakowskie, p. Mora. — Dążności dzisiejsze w zakresie rozrywki i zabawy, p. K. R. Żywickiego. — *Badania naukowe:* Estetyka przyrody, p. L. — *Literatura i sztuka:* Listy wiedeńskie, p. Stwosza. — Nowe dzieła o Rewolucji francuskiej, p. L. W. — Talent na rynku, II, p. Cezarego Jelentę. — Teatr, p. Zenona Pietkiewicza. — *Fejleton:* Liberum veto, p. Posła Prawdy. — Zdala, p. Z. Atanazego. — Kronika. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

W dodatku kwartalnym, obok dokończenia *Historyi Rewolucyi francuskiej*, rozpoczynamy druk dzieła K. Letourneau

### Rozwój moralności,

po którym nastąpią prace Brandesa, Romanesa, Taine'a i innych.

W końcu grudnia nakładem naszym wydzie

### Encyklopedia dla dzieci

ilustrowana. Dziecko, zdobywając wiedzę i poznając życie, ma mnóstwo pytań, na które nie zawsze znajduje odpowiedź w swym najbliższym otoczeniu. Książka więc nasza chce mu zastąpić w tych wypadkach rodziców lub przewodników. Kosztować ona będzie rs. 1 kop. 80, z przesyłką rs. 2.

W styczniu roku przyszłego wydamy

### Psychologię dziecka,

opracowaną przez dr. Wolberga na podstawie specjalnych prac Peretza, Preyera i innych. Będzie to podręcznik wychowawczy dla rodziców. Cena książki rs. 2, z przesyłką rs. 2 kop. 20.

Opuściła prasę drukowana w dodatku

### Historya Rewolucyi francuskiej

M. Migneta,

tomów dwa. Cena rs. 2, z przesyłką rs. 2 k. 25.

Ostatnie dwa arkusze tego dzieła abonent *Prawdy* otrzymają przy dodatku grudiowym.

Dogadzając wielokrotnym życzeniom naszych mniej zamożnych abonentów, nabyliśmy pewną ilość egzemplarzy wydawnictw Spółki Nakładowej i możemy je odstąpić po cenie niższej o 20%. Mianowicie:

J. Brandes, *Główne prądy literatury XIX w.*, tom I. Szkoła romantyczna we Francji — rs. 1 k. 60.

P. Chmielowski, *Autorki polskie wieku XIX*, rs. 2.

L. Gumplowicz, *System socjologii* — rs. 2 k. 60.

A. Okolski, *Ustrój państw europejskich i Stanów Zjedn.* — rs. 2 k. 40.

B. Prus, *Szkice i obrazki*, tomów 4 — rs. 4.

H. Spencer, *Etyka* — rs. 1 k. 60.

*Światelko*, książka dla dzieci — rs. 1 k. 50.

W. Smoleński, *Drobna szlachta* — k. 50.

UWAGA. *Nabywający wszystkie dzieła razem, płacą tylko rs. 12* (zamiast rs. 16 k. 20). Cena tych książek dla nieabonentów *Prawdy* pozostaje niezmienną. Na koszt przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

O wczesne nadsyłanie prenumeraty uprzejmie prosimy.

### POLITYKA.

#### MEETING LONDYŃSKI.

Pod przewodnictwem lorda majora odbył się w Londynie (w Guildhall) „meeting“, bardzo liczne zgromadzenie przedstawicieli wszystkich klas społecznych, poczynawszy od ubogich izraelitów, a skończywszy na dostojnikach Kościoła i arystokracji, zgromadzenie, które po licznych mowach uchwaliło wstawić się u rządu ruskiego za Żydami. W tym celu nawet wysłano do Petersburga dwu deputatów. Skoro tylko nad Nowę dobiegły echa tego meetingu, *Nowoje Wremia* odpowiedziało na nie energicznym, roztelegrafowanym po Europie artykułem, z którym właśnie chcemy zaznajomić naszych czytelników. Z niego bowiem wywnioskować możemy to przyjęcie, jakiego ze strony społeczeństwa ruskiego oczekiwać mogą deputaci londyńscy.

„Wara od nas, panie lordzie majorze i gentlemanie! — woła dziennik petersburski. *Hands off!* (ręce precz!). Naród ruski nie jest kolonią W. Brytanii. On nie przywykł żyć pod naciskiem nieproszonych doradców. Jeżeli są między nami ludzie gotowi przyklasnąć meetingowi angielskiemu, to tylko ci, którzy pragną zubożenia ludności ruskiej lub którzy radziby wystawić

Rosyę niby Argentynę, zależną od wielkich firm bankierskich pod względem kredytu. Ogromna większość nawet inteligencji może tylko uczuć dla siebie obrazę w tem wtrąceniu się, w tej obłudnej i zuchwałej komedii, odegranej przez bogaczy *City*, chcących uczynić Rosyę ziemią obiecaną Żydostwa, a samym uwolnić się od niego.. Głos lorda majora i jego współtowarzyszów znaczy dla nas akurat tyle, co znaczyłby meeting w Petersburgu pod przewodnictwem prezydenta miasta, któryby wyraził życzenie starania się u królowej angielskiej o samorząd dla Irlandyi i nadanie gruntów klasie rolniczej w Anglii.“ Ze szczególną surowością i gniewem rozbiera *Nowoje Wremia* mowę lorda majora, który „zuchwale przyrównał stan Żydów do niewoli chłopów podczas pańszczyzny“ i pyta go, czy Anglicy zwolniali meeting na korzyść uwłaszczenia Włościan? Nie — mówi gazeta — bo Żydzi to co innego, bo posiadają banki przemysłowe i handlowe. kantory bankierskie, cukrownie, gorzelnie i trudnią się lichwą. Według lorda majora doznają ucisku religijnego. „Gdzież to? Czyż synagogi nie stoją dumnie obok cerkwi prawosławnych? Czyż nie otwarcie i nie okazałe odbywają się pogrzeby żydowskie w stolicy? Nie nienawisć ka nasie żydowskiej, nie religijna nietolerancja, lecz obrona praw ludności rdzennej kieruje rządem ruskim w wyborze środków przeciw Żydom... Nie bawiąc się w fałszywy liberalizm — kończy *Nowoje Wremia* — rząd działa jawnie w kierunku, który powinien ubezpieczać dobrobyt i spokój ludności rdzennej. A zatem *hands off!* panowie, zupełnie *hands off!* Chociażby cała Europa przeistoczyła się w jeden meeting żydowski dla zgwałcenia woli Rosyi, i wtedy nawet Rosya potrafi obronić swą samodzielność i niepodległość.“

Jeżeli w jakiej sprawie, to w tej, można *N. Wremia* uznać za wiernego tłumacza usposobień większości społeczeństwa ruskiego. Uczestnicy meetingu usposobień tych nie znali, w przeciwnym razie, jeżeli

nie powstrzymaliby się od publicznych obrad, to z pewnością zaniechaliby wysłania deputatów. Jest to misja nie tylko chybiona, ale nawet dla samej sprawy niepożyteczna. Wprowadzi ona bowiem tylko rozdrażnienie i może oddziaływać w kierunku odwrotnym. Przyznajmy zresztą, że chociażby angielscy obrońcy żydów poradzili sobie ze wszystkimi wytoczonymi przeciw nim argumentami, nie odeprą jednego, poczerpnętego ze stosunku Anglii do Irlandyi. „Lekarzu, ulecz naprzód siebie“ i zakończ proces polityczny domowy z pobratymczym narodem — wołają dzienniki ruskie i trafiają rzeczywiście w słabą stronę „humanistki.“

Bądź co bądź, to starcie się dwu potężnych prądów opinii jest bardzo ciekawe. Nie miesząc doń swojego głosu, przedstawiliśmy je obiektywnie i zaznaczymy w podobny sposób jego ciąg dalszy, jeżeli ono ten ciąg będzie miało. Być może bowiem, że albo posłowie meetingu wrócą z drogi, albo przekonają się, że *N. Wremia* nie dało im odpowiedzi we własnym jedynie imieniu, a wtedy wrzawa ucichnie i przestanie w prasie znacząc swoje ślady.

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Sprostowano pierwotne doniesienie o ostatniej chwili rozłamu partyi irlandzkiej: rozdział ten miał nastąpić nie śród wzajemnych zniewag i wymysłów, ale śród wzruszeń i poważnego żalu. Ale z tą uroczystością pożegnania nie licują wcale wypadki późniejsze. W redakcyi dziennika *United Ireland*, którą naprzód szturmem zdobył Parnell, potem jego przeciwnicy i znowu Parnell, odbywała się najwzajemniejsza bijatyka. W podróży po kraju zdezonizowany „król“ to spotyka się z nadzwyczajnym zapalem ludności, która pali wizjerunki jego nieprzyjaciół zawieszane na szubienicy i wypręga mu konie z powozu, to napastuje go wrogo. Próba popularności

Parnella i skonfederowanych przeciw niemu towarzyszy ma być rezultat wyboru posła w North-Kilkenny, gdzie obie strony postawiły swoich kandydatów. Dotychczas (czwartek) nie wiemy, która strona zwyciężyła, wiemy tylko, że Parnellowi osypano twarz wapnem, skutkiem czego o mało nie utracił wzroku. Walka więc toczy się z żarciem i nie obiecuje żadnego pojednania. Ale chociażby Parnell w tem starciu ją przegrał, nie ustąpi a znajdzie dostateczne oparcie w społeczeństwie (zwłaszcza w ludności miejskiej) i w swoim żelaznym charakterze. Pomimo wszystkich dymisyj pozostanie on przewodcą trzydziestu kilku posłów w parlamencie, bożyszczem milionów ludzi i zarządcą milionów pieniędzy, stanowiących fundusz narodowy irlandzki i złożonych na jego imię (łącznie z Mc. Carthym) u bankiera paryskiego.

Aż dwu dziennikarzy francuskich przyznało się publicznie, że przechowywali u siebie w Paryżu Padlewskiego, zabójcę gen. Seliwerstowa. Prokurator polecił obu aresztować, ale trudno zaręczyć, czy to nie jest bądź kłamstwo dla zmylenia policji w pogoni, bądź też zwykła francuska bravura, za pomocą której niejeden spekulant chce zwrócić na siebie uwagę i przyczepiwszy się do jakiejś głośniejszej sprawy, wypłynąć na wierzch. Jeżeli w *Figarze* znajdują się literaci, opisujący z naocznego widzenia, jak Cherbuliez został obłany kwasem siarczanym przez uwidzioną kobietę i potem przyznający się szczerze, że popełnili kłamstwo dla przekonania się, ilu okaleczony powieściopisarz posiada przyjaciół współczujących z jego nieszczęściem, to dla czegoż inny amator nie miałby zmyślić swojego stosunku z Padlewskim! W Paryżu takie ogłaszanie się winnych trzeba przyjmować bardzo ostrożnie.

Francya postąpiła o krok dalej w naśladowaniu Rosyi: swoją kawalerję uzbraja pikami. Nie posiadamy dość specjalnej wiedzy do orzeczenia, czy ta broń jest wskazana przez potrzeby wojskowe.

Skupeczyna serbska przeczytawszy memoriał ex-królowej serbskiej na tajnym posiedzeniu, postanowiła nie wprowadzać go do obrad publicznych i tylko zalecić rządowi, ażeby starał się usmierzyć właśnie między rodzicami króla. Na usunięcie memoriału od dyskusyi jawnej wpłynął także energicznym telegramem Milan, który

przypomniawszy obecnym kierownikom Serbii ich względem niego zobowiązania, zapobiegające wywłóczeniu skandalów małżeńskich. A mają to być podobno skandale bardzo gorszące.

Walka stronnictw w Czechach zbliża się ku jakiemuś, jeżeli nie końcowi, to przynajmniej zawieszeniu broni. Obok starych i młodych powstała trzecia partya „realistów“, której przywodzi prof. uniwersytetu Masaryk i która posłuszy za ogniwo łączne między dwoma wrogimi obozami. W wiedeńskiej Radzie państwa klub czeski ma się uorganizować pod nową nazwą i na innych podstawach. Rieger jeszcze ratuje swoją łódź tonącą, ale coraz bardziej zanurza się z nią pod wodę.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

### POKŁOSIE SEJMOWE.

Lwów, 7 grudnia.

Statystyka prac sejmowych bieżącego roku wykazuje pod względem ilościowym pokaźne owoce. W ciągu ubiegłej sesyi, trwającej niespełna 7 tygodni, odbyło się 33 posiedzeń, załatwiono około 900 petycyj, uchwalono kilkanaście ustaw, a blisko 150 spraw pierwszorzędnęj wagi nie schodziło z porządku dziennego obrad. Marszałek w mowie swej, zamykającej uroczyste sejm, podniósł to z naciskiem, że materiał został „zupełnie wyczerpany...“ Przyczem nie zapomniał dodać, że na pracę swą „dochodzącą do ostatecznych granic wyczerpania sił fizycznych i moralnych“ — istne kpiny książęce z pracy ludzkiej — „mogą panowie posłowie spoglądać z zadowoleniem i wracać do ognisk domowych ze świadomością spełnionego obowiązku względem kraju.“ Dzienniki galicyjskie wszelkich odcienników liberalnych z *Nową reformą* na czele rozniosły po świecie cudowne wieści o błogich skutkach tegorocznej sesyi. A jakby na uwiecznienie tej nieludzkiej komedii odbył się wstrętny epilog, w którym Wysoka Izba przez usta swego najgodniejszego przedstawiciela, ks. Czartoryskiego, składała „serdeczne podziękowanie Jego Ekscelencji c. k. namiestnikowi“ (za co?) w „wy-

## SYLWETKI HISTORYCZNE Z XVII W.

### KOBIETY

w oblężonym przez turków Kamieńcu

(1672 r.).

W zawartym Kamieńcu, oczekującym z trwogą na zbliżającego się nieprzyjaciela, znajdowało się sporo kobiet i dzieci. Jeżeli obliczymy wszystką ludność, pod opieką jego murów szukającą schronienia na 8,000 głów (Współczesna korespondencya—rękopis), to na niewiasty przypadnie co najmniej część czwarta tej cyfry. Kilka narodowości składało się na nią: naprzód polki, żony ziemian sąsiednich, żony i córki miejskich obywateli — i jednych i drugich było niewiele; kraj, od lat kilkunastu nawiedzany przez nieprzyjaciela, nie zapewniał bezpieczeństwa, więc panie nieposiadające obronnych zameczków, gdzieby mogły ukryć się w czasie najazdu bezpiecznie, kędyś w głębi Rzeczypospolitej przebywały, wychekując pogodniejszej doby. Zostawały po za murami, na płaszczyznach pustką świecących, energiczne niewiasty, gotowe z bronią w rękę, przy boku rycerskich małżonków bronić domowego ogniska; uboższe zaś a trwożniejsze osiadały w mieście, posiadały tu nawet domy własne, wychylając się rzadko i to z konieczności po za jego mury.

Że nie mówimy tego z domysłu, że mamy na to podstawy, łatwo się o tem przekonać; dość rozpatrzyć taryfy miejskich posiadłości z 1670 r. Znajdujemy tedy w niej, jako właścicieli: Lanckorońskich, Konarzewskich, Puchalskich, Wołodyjowskich, Sabatyna, Rzewuskiego, Staniszewskiego, Sierkzyńskiego, Łojowskiego, Łastowickich, Żuka, Gruszeckiego, Boguszów, Humieckiego, Grodeckiego, Skarzyńskiego, Korsaka, Chocimierskiego i wielu innych, których na liście obrońców miasta spotykamy (Arch. J. Z. R. VII. 1. 556—583). Wszystko to okoliczni ziemianie z dziada pradziada, z własnej i nieprzymuszonej woli, na gruntach starostwa kamienieckiego, teraz gwoili obowiązków przekazanych tradycją, stawili się na stanowisko zagrożone, a stawili się z rodzinami i służbą dworską. Z pań jednak przedniejsze zajmujących stanowisko, pośród tej rzeszy spotykamy panią chorążynę podolską — Wojciechową Humiecką, staruszkę poważną, Annę z Komorowskich Pawłową Wołodyjowską, matkę Jerzego, jednego z głośniejszych obrońców twierdzy, jej córkę Annę Makowiecką, stolnikową łatyckowską, jej synową Jakubową Wołodyjowską, miecznikową łatyckowską, Janowę Boguszową przepiękną, młodą wdowę, okrutnie poszukiwaną przez Potuszyńskiego, rotmistrzową Marcinową Boguszową, Annę z Śródpola Mateczyńską, siostrę p. Krystyny Wołodyjowskiej, Myśliszewską, wreszcie Zofię Potocką, z Mohylanki urodzoną,

sędziwą przełożoną miejscowych panien dominikanek, których znajdowało się podobnie dwanaście. Zakonnica owa, wysokiej świętobliwości i energii zarazem, rozporządzała znacznym funduszem, umiała go stosownie zużytkować na zakupienie potrzebnej prowizyi, stąd nowy klasztor, gdzie się przeniosła w wigilię prawie oblężenia, zamienił się w przytulisko dla niewiast i dla dzieci szczególnie, a już i z tego względu stosownie, że budynek ów znajdował się obok bramy Batorowej, najmniej też był narażony na pociski rzucane od miasta przez nieprzyjaciela, kiedy stary klasztor nad rzeką, obok ruskiej bramy, na straconej wznosił się placówce, a jako drewniany, mógł lada chwila pójść z ogniem.

Obok polek stały rusinki, żony urzędników miejskich, kupców, rzemieślników, najliczniejsze i najuboższe w stosunku do innych narodowości; ledwie przedniejszych kilka rodzin tu zarejestrować możemy, jak Pawliczowa, Kubińska, Kosidłowska, Milowska, Hrycynowa (Hreczynowa), Magrównska, Maszkiewiczowa, Pasenkowska, Putorowiczowa i Wawrzynkiewiczowa. Z okolic przybyła garść wieśniaczek, niechętnie przez mieszczaństwo przyjmowanych ze względu na brak prowiantu i niewiadomość, jak długo potrwa oblężenie; zawsze atoli przedostało się ich trochę z mężami, zwłaszcza kiedy ci ostatni za pewne wynagrodzenie obowiązali się pełnić służbę na szanach i w cekhauzie. W chwili zawarcia miasta wprosiło się jeszcze trzy-

mownych wyrazach wdzięczności i szczerego uznania“ i drugie podziękowanie dostojnemu księciu Marszałkowi za „trudną i żmudną pracę (widocznie nie mają książkę jasnego pojęcia o pracy), którą w imię Boga rozpoczął,“ na co, odważając się pięknym za nadobne, dziękował hrabia namiestnik mości księciu „za słowa uznania,“ a księżę marszałek księciu metropolicie za „współudział w pracy.“ Resztę pochlebstw polknięto z pasztecikami i zapito szampanem na zebraniach domowych. I wszystko poszło dobrze. Panowie ci mają w istocie strusie żółdki i czoła miedziane — robią, co im się żywnie podoba, nie budzi się w nich nawet głos sumienia. Nie obawiają się żadnej opozycji, bo wszelki „bunt“ na wewnątrz i zewnątrz stłumili w zarodku, a na usługach ich są wszystkie instytucje rządowe i krajowe, nędzną zaś prasę galicyjską, tworzącą t. z. *ring* dziennikarski, mają w swej bocznej kieszonce.

Z obowiązku korespondenta wymieniam najważniejsze sprawy sejmowe, z których wiele załatwiono tylko pozornie, t. z. rezolucjami do Wydziału krajowego, inne zaś pomnożyły „cenny“ materiał archiwalny.. Mozaikę tych spraw, podejmowanych bez programu, możnaby rozgatkować na trzy główne działy, tj. przedstawienia rządowe, sprawozdania Wydziału krajowego i samostne wnioski poselskie. Z przedstawień rządowych pierwsze miejsce zajmuje ustawa o organizacji służby zdrowia w gminach galicyjskich, drugie — sprawa indemnizacji. Przedstawienia Wydziału krajowego, których było 123, dadzą się podzielić na dwie główne grupy: ustawodawczą i administracyjną. Z pierwszych najważniejsze były: ustawa gminna dla mniejszych miast i miasteczek, ustawa zdrojowa, ustawa w sprawie zmiany ordynacji wyborczej i statutu krajowego dla powiększenia liczby posłów z m. Lwowa i Krakowa, nadania głosów wirylnych prezesowi Akademii umiejętności w Krakowie i rektorowi szkoły Politechnicznej we Lwowie; ustawa o policyi ogniowej dla miast i miasteczek i ustawa o ulgach podatkowych dla przedsiębiorstw przemysłowych. Wniosków administracyjnych Wydziału krajowego było 97, poselskich 25 — wszystkie zaś tak blache i niedostateczne, że nie warto się nad nimi rozwodzić. Przy tej sposobności załagodzono „famiłijnie“ przesilenie Wydziału

krajowego. Zastępca marszałka p. Pietruski, który w kuchni autonomicznej przy każdym był pieczywie i zna wszystkie jej sekrety, musiał ustąpić miejsca bardziej powolnemu narzędziu, za co dostaje 5,000 złr. rocznej emerytury! Zastępstwo przewodnictwa w Wydziale objął po nim p. Chamiec, z zawodu c. k. starosta, z przeko-  
nań najniższy podnózek rządu, a na miejsce p. Adama Jędrzejowicza wszedł najbliższy jego krewny, p. Edward Jędrzejowicz, żeby — broń Boże — familia Jędrzejowiczów nie poniosła żadnej ani moralnej, ani materyjalnej straty. Tak się zakończyła reorganizacja Wydziału krajowego od stóp do głów!.. Przypomina to bajkę o poro-  
dzeniu myszy przez górę i byłoby nawet bardzo wesoło, gdyby nie szło o losy kraju i 6-milionowej ludności!..

Wypłynęła znowu na widownię publiczną od lat kilkudziesięciu jątżrona przez rząd i tłumiona przez szlachtę sprawa ruska. Wszła ona obecnie w nową fazę rozwoju, dlatego zwróćmy na nią szczegółowiej uwagę czytelników.

Na czele rusinów stali do r. 1882 t. zw. „starzy,“ czyli „nieprzejednani,“ którzy zwątpiwszy o samodzielnym rozwoju hali-  
czan wobec polityki szlachty polskiej i rządu austriackiego, stanęli w rzeczach religii, polityki i języka mniej lub więcej otwarcie na gruncie ruskim.

Partya ta, której przywódcą jest obecnie prof. Antoniewicz, a do której zaliczają się posłowie Karol, ks. Sirko, Herasimowicz i inni, rozporządza znacznym zasobem inteligencji i odznacza się uporem przekonań, czego dała dowody i na obecnej sesji. Organem jej jest *Czerwona Ruś*, a pierwszy punkt programu stanowi zupełny rozdział Galicji na wschodnią (ruską) i zachodnią (polską). Drugą partję tworzą t. zw. ukraińcy, dawniej „młodymi“ zwani, którzy, stojąc w opozycji do „starych,“ szli z nimi ręką w rękę przy wystąpieniach przeciwko rządowi i polakom. Dopiero pod koniec sejmiku nastąpił stanowczy rozbrat. Ukraińcy pojednali się z rządem „za miskę soczewicy,“ przyrzeczonej przez ministra bez teki, Zaleskiego, który umyślnie w tym celu zajęchawszy do Lwowa, konferował z przewodnymi ukraińskimi (Siczyńskim i Telizewskim, bo z c. k. profesorem gimnazjalnym nie wypadało ministrowi wchodzić bezpośrednio w układy). Program ich,

wypowiedziany w sejmie przez prof. Romańczuka, streszcza się w następujących 5 punktach: odrębność narodowości ruskiej, nietykalność cerkwi, wierność dla tronu i państwa austriackiego, wyznawanie zasad konstytucyjno-liberalnych i podniesienie ekonomiczne ludu. Pod tym ostatnim względem wyznaje partya ukraińska „liberalizm umiarkowany“ i dąży do rozwoju ludu wiejskiego i mieszczaństwa. Program, jak widzimy, nienowowy, postawili go już rusini w r. 1848, nową jest tylko taktyka polityczna. Oto po raz pierwszy wyparli się rusini jawnie elementów wrogich samodzielnemu rozwojowi Rusi i zaczęli układać się z rządem. Powiadają, że namiestnik przyrzekł im za to wznowione hasło „przy tobie panie stoimy i stać chcemy...“ i kilka nowych 10-guldenowych mandatów do Rady państwa. Po tem wystąpieniu Romańczuka i towarzyszy, do których przyłączył się sam metropolita Sembratowicz, rozpadł się klub ruski na dwie partje. Pierwsza złożona z nieprzejednanych pod przewodnictwem prof. Antoniewicza wystosowała do Romańczuka nagane, podpisaną przez siedmiu posłów ruskich, wyrażając mu swoje niezadowolenie i nieufność, wzywając go przytem, aby złożył godność prezesa klubu. Druga, godząc się w zupełności na jego program, wyrzuciła z klubu owych siedmiu posłów z Antoniewiczem na czele. Ukrainofilskie *Dilo*, które oświadczyło się także za programem Romańczuka, stało się organem odmłodzonej partji ukraińców. Z ich grona zaś wydzieliło się znowu stronnictwo rusko-ukraińskie, zwane radykał-  
nem, któremu przywodzią literaci Franko, Pawlik oraz najmłodsze pokolenie, grupujące się w „Bractwie akademickiem.“ Program ich dzieli się na „maksymalny,“ streszczający najdalej idące zasady stronnictwa w sprawach społeczno-ekonomicznych, politycznych i kulturowych i „minimalny,“ zawierający długi szereg żądań praktycznych. Pod względem zasad ogólnych nowe stronnictwo dążyć chce do „zbiorowej organizacji pracy i własności,“ w kwestjach politycznych domaga się „swobody osobistej, słowa, stowarzyszeń, druku i sumienia, prawnie zabezpieczyć dla każdej jednostki bez różnicy płeć jak najzupełniejszy wpływ na życie publiczne, żąda zupełnej autonomii gmin i powiatów całego kraju“; w sprawach kultury stoi „na gruncie nauki

dzieści rodzin kmiecych ze Skały i to za wstawieniem się Lanckorońskiego, podkomorzego podolskiego i starosty skałskiego (Makowiecki, *Relacja o upadku Kamieńca. Przegl. powszech.* 1886, zes. 3, s. 398); a p. Wołodajowski, podczas wycieczki do Hrynczuka, gdzie spędził pierwszych tatarów wkraczających na podolski brzeg Dniestru, zabrał ze sobą wszystką ludność tej wioski, chcąc jej zapewnić schronienie (*Relacja*, s. 395).

Ormianie reprezentowali patrycyat miejski, liczba ich wynosiła około 2,000 głów płci obojczy, między nimi czwarta część kobiet dorosłych; na tę cyfrę składali się miejscowi mieszkańcy i koloniści przed niedawnym czasem w Żwańcu osiedli. Po świeżo zawartej unii kościelnej byli to niby łacinnicy, ale większość z nich w potocznej mowie używała języka tatarskiego, arystokracja mówiła po turecku, toż jeszcze przed ośmiu niespełna laty, nie dawniej, witali arcybiskupa swojego, przybywającego ze Lwowa, mowami w tem narzeczu wygłaszanymi, zaszczyt ten spotkał i generałową podolską (*Źródła dziejowe*, II, 58. Koresp. współczesna — rękopis). Dla przeważnej przeto liczby ormian owo obłożenie o tyle było nieprzyjemnem, o ile krzyżowało ich rachuby kupieckie, przeszkadzało w handlu, zawieszało dość ożywione stosunki z firmami we Lwowie, Kijowie i Moskwie. Mniejszość bardzo nieliczna, już tu od wieków osiadła, dzieliła z ogółem tubylców troski i bolesne niepokoje, a do takich ro-

dzin należeli bujnie rozrodzeni Krzysztofowicze, Butahowicze, Zarugowicze, Kierkowicze, Safrannikowicze, Asiadurowicze, Emirowicze, Milkiewicz, Muraty, Wojewodkowicze i niewielu innych. W obronie jednak miasta niemal wszyscy brali udział czynny, chorągwie młodych kolonistów stały w ogniu wytrwale, nie cofając się przed niebezpieczeństwem.

Pewna garstka izraelitów wprosiła się także do Kamieńca; całe Karwasary zaludnione wówczas żydami, także z sąsiednich Czemurowiec, Oryny, Żwańca, Husiatyna, przeważnie majątniejsi kupcy z rodzinami z białogłów złożonemi, dziewczę między niemi urodziwych było co niemiarą. Pozwolono żydom rozlokować się na Zarwanieckiej (dziś Rzeźnickiej) ulicy, ormianie ich do swojej nie puszczali dzielnicy, pozwolono urządzić czasowy dom modlitwy (synagogę) i zobowiązano do przyjęcia udziału w obronie miasta, czego dotrzyмали święcie, energicznie około armat pracując. Tak np. wiemy z relacji współczesnych, że żyd pewien na szańcu ormiańskim niemilosiecznie doskwierał nieprzyjacielowi swoimi celnymi strzałami: „Ten ci miał, powiada Makowiecki (*Relac.* 3, s. 400), kwatere na starym zamku, zawsze gotów i rzeźki, strzelaniem swoim niemało Turków inkomodował.“ Dwoch znowu na innem miejscu, obsługując działa, padło rażonych od kul oblegających (*Rel.* 4, s. 45); zręcznie około „popsowanej strzelby“ chodzili, „rychtując ją do użytku“ dalszego (Koresp. współczes.,

rękopis). Pan stolnik latyczowski, komendant obwarowań w skład ruskiej bramy wchodzących, miał w swoim oddziale chorągiew żydowską z 18 głów złożoną (*Rel.* 3, 398). Przypuszczamy, że i w garnizonie Lackiej bramy znajdowali się także starozakonni.

Otóż, gdyby nam przyszło podać statystykę tej różnoplemiennej białogłowskiej ludności, tobyśmy mniej więcej tak ją podzielili: 1000 rusinek, 500 ormianek, 300 żydówek i 200 polek. Jak się ta gromadka, podczas oblężenia, podczas dni grozy zachowywała? Z całą godnością, bez pochlebstwa, możemy jej złożyć takie świadectwo. Zbiorowe wystąpienie poci białej, już, jeżeli nie pięknej, miało miejsce po kilkakoć. Najprzód, w początkach, około 10 sierpnia, kiedy jeszcze o zbliżeniu nieprzyjaciela, pewnych dowodów nie miano, albo raczej, choć dowody były, rzesze jednak zebrane w Kamieńcu ludzi się, przekonane się pręto pragnęły raz jeszcze, czy złudzenia, istotnie są tylko złudzeniami. Ogół więc z kobietami na czele udał się wówczas z prośbą do Wołodajowskiego, by wysłał podjazd, z celem dostania języka, niewiasty przedewszystkiem wymagały tego (*Relac.* 3, 402. Korespond. współczesna). A kiedy podjazd wrócił prowadząc ze sobą dwóch janczarów, a ci złożyli świadectwo, kiedy się przeświadczone, że nieprzyjaciół grasuje w sąsiedztwie, wtedy postanowiono związać się przysięgą bronięcia miasta do upadłego. Nabożeństwo miało miejsce w katedrze,

pozytywnej, „zastrzegając, aby wszelkie zdobyte wiedzy i cywilizacji stały się własnością całego narodu.

Program minimalny obejmuje w kwestiach ekonomicznych trzy grupy życzeń, z których jedna chce powstrzymać prędkie tworzenie się proletariatu w naszym kraju za pomocą środków w rodzaju „zniesienia podatku gruntowego i rzeczowego, a zaprowadzenia dochodowego,“ usunąć cła na produkty rolne i wogóle na artykuły niezbędne do życia; druga — dąży do zaprowadzenia stałej zbiorowej organizacji wytwórczości narodowej, jako jedynego środka rozwiązania kwestyi społecznej („zakaz dzielenia majątków gminnych, pomoc publiczna dla gmin przy nabywaniu gruntów na własność zbiorową, reforma prawa spadkowego w tym duchu, aby grunty *ab intestato* przechodziły na własność gminy, zakładanie publicznych instytucyj gospodarsko - naukowych, organizacja fachowego nadzoru nad gospodarką zbiorową“ itp.); trzecia — do przeprowadzenia pewnych reform w zarządzie finansami („ograniczenie wydatków na wojsko, zniesienie monopolu solnego, loteryi i ograniczenie fiskalizmu, podniesienie kraju za pomocą regulacji rzek, ochrony lasów“). W sprawach politycznych domaga się program minimalny: 1) zaprowadzenia powszechnego głosowania, a zniesienia kurji wyborczych; 2) reformy wojskowości w ten sposób, aby wykształcenie żołnierskie było rzeczą szkoły, a wojsko stałe zastąpiono pospolitem ruszeniem; 3) stanowczej walki z wszelkimi ograniczeniami swobody jednostki, korporacyi i narodowości ruskiej przy zaspokojeniu ich potrzeb materialnych i umysłowych; walki z wszelkimi dążnościami wstecznymi, wyzyskującymi, czy to jednostek, korporacyi, czy całych systemów; domaga się następnie oddania drobniejszych spraw karnych i cywilnych pod kompetencję sądów gminnych, rozszerzenia atrybucyi sądów przysięgłych na wszystkie ważniejsze zbrodnie i przekroczenia, zaprowadzenia jak najkrótszej procedury ustnej w sprawach cywilnych, bezpłatnego wymiaru sprawiedliwości, a wreszcie odpowiedzialności urzędników za wszelkie naruszenie ustaw podczas urzędowania — przed sądem przysięgłych. Dalej idzie szereg żądań w sprawach krajowych. Co do kwestyi narodowościowej stronnictwo stawia sobie

tylko jeden cel: dążyć do „podniesienia poczucia świadomości narodowej i solidarności w masach całego narodu ruskiego za pomocą literatury, zjazdów, stowarzyszeń, odczytów, pism.“ Wreszcie pod względem oświaty stronnictwo domaga się „bezpłatnej nauki, państwowej organizacji publicznego wspierania klas uboższych przy nabywaniu wiedzy, otwarcia wszelkich szkół dla kobiet, podwyższenia wydatków na oświatę i reorganizacyi szkół stosownie do realnych potrzeb narodu i do pozytywnego kierunku nauki współczesnej.“ Nowe stronnictwo wtłaczające się niby klinem między wyznawców *Czerwonej Rusi* a *Dita* ma swój organ w *Narodzie*, nie może jednak urosnąć na ważny czynnik polityczny po prostu dlatego, że tak radykalnie *działających* znajdziesz między rusinami najwyżej dziecięciu.

Beta.

## LISTY KRAKOWSKIE.

Nieparlamentarne wybory do parlamentu. — Dwa spostrzeżenia. — Wybory w Radzie miasta, Akademii umiejętności i w Towarzystwie muzycznym. — Modrzejska. — Korzystne zmiany w teatrze. — Zasługa p. Barabasza. — Towarzystwo Opieki zdrowia. — Doświadczenia ze szczepionką Kocho.

W krótkich odstępach czasu byliśmy świadkami dwu wybuchów w składach materiałów palnych. Jeden i drugi pociągnął za sobą ofiary życia ludzkiego, a władze miejskie, wydając spóźnione rozporządzenie, uprosiły stare przysłowie na „mądry polak po dwu szkodach.“ Wiadomo, że owe władze dzielą się na liczne i drobiazgowo seceje, wiadomo że dobrze są wynagradzane, niewiadomym tylko jest pożytek z nich.

Napiętnować należało niedbałość po pierwszym nieszczęśliwym wypadku, bo gdy ustawa wyraźnie nakazuje, aby do przechowywania materiałów wybuchowych używano piwnic mających światło dzienne i zabrania przebywania w nich wieczorem, pokazało się, że ani kupiec, ani odpowiedzialna władza nadzorcza nie troszczyli się o ustawę. Piwnica nie miała światła dziennego, ale natomiast miała... oświetlenie gazowe. W kilka dni po tym wypadku, gdzie właściciel przypłacił życiem, a pomocnicy

odnieśli ciężkie oparzenia, sygnali straż pożarnej alarmowały miasto o takimże wybuchu, a wozy miejskie odwiozły do szpitala oparzone i poszarpane ciała ofiar cudzego lenistwa, niedbalstwa i niesumienności.

Po dwu szkodach zmądrzał polski magistrat i rozlepił sąznistą instrukcję dla handlujących benzyną, ale ponieważ w tej porze wypadły wybory posła — w miejsce zmarłego dr. Machalskiego — zaklejono i instrukcję łatwo-zapalnymi odezwaniami do wyborców.

A odezwy te znamienne są dla Krakowa; w nich to zmyśla się i wymyśla, obiecuje, prosi, grozi, co ćwierć godziny nalepia się inną, a gawiedź czytając przeinacza je z humorem i cichaczem wyskrobie z posła jedną literę.

Tym razem spółzawodniczyli z sobą, przedstawiciele obu naszych stronnictw, dr. Sokołowski współpracownik *N. Reformy* i dr. Tomkowicz współpracownik *Czasu*. Ubiegali się o mandat poselski, a szczególnie ten ostatni, rozwinął w szerokim zakresie działanie przedwyborcze. Nie szczędzono ani trudów, ani tego, co przekonać może niezawisłych obywateli, a kiedy nadeszła rozstrzygająca chwila, sala Rady miasta pomieścić nie mogła tłoczących się wyborców. Zgromadzenie było burzliwe, a gdy p. Sokołowskiego wysłuchano w spokoju i obdarzono hucznymi oklaskami, p. Tomkowicz zato przyjść nie mógł do słowa. Ale bo też i wybrał się z ciekawą mową, o tyle ciekawą, że pozwałam sobie przytoczyć z niej chociaż początek. „Szanowni wyborcy! Staję przed wami jako całkiem nowy kandydat, nigdy nie byłem w parlamencie, zbyt mało jestem znany wogóle, lecz staję, aby was prosić o rzecz drogocenną i zaszczytną, o pozwolenie mi reprezentowania Krakowa wobec korony i państwa. I cóż powiem na poparcie tej mojej gorącej prośby, na zasługę własną powołać się nie mogę (oklaski — głosy: „to prawda, więc czego pan chce“?). Żadnego tytułu do otrzymania mandatu nie posiadam, ośmielam się przeciw prośbę moją postawić. Chociaż żyjemy w czasach demokracji, jestem dobrze urodzonym, (długotrwałe syknięcia, głosy: „a co nas to obchodzi, to żarty z wyborców, dosyć tej komedii,“ poplecznicy kandydata unoszą się widoczną porywczością, powstaje gwar i zamieszanie).“ Gdy się uciszyło, p. T.

ksiądz biskup celebrował, sam wygłosił rolę owego zobowiązania, które za nim powtarzało rycerstwo i reprezentanci wszystkich stanów. Kobiety zajmowały babienicy i boczne nawy; po skończonej uroczystości, pasterz „schylonych głęboko przenajświętszym sakramentem przeżegnał“ (*Relac.* l. c. 3. 403.) Wówczas niewiasty wypełniły przybytek płaczem wielkim, który obecnych dziwnym dreszczem przejął, a suplikacje wśród łez i łkań wznosiły się do stropów świątyni, płynęły kędyś daleko, mieszając się z jękiem dzwonów, poraz ostatni tak zbiorowo, tak uroczysto odzywających się w starej warowni (Koresp. współczesna). Była to jedyna chwila słabości i przynębienia, bo potem, kiedy nastąpiło bombardowanie, bez trwogi, z pewnym spokojem zachowywały się wśród nieustannego huk, pośród trupów padających dokoła. Gromadziły się w świątyniach, pełne otuchy i pewności, że się miasto ostoł. Kiedy więc ks. biskup, zaproponował — 18 sierpnia — *armistitium* cztertygodniowe, rycerstwo wysłuchało tego obojętnie, było nawet stronnictwo gotowe do przyjęcia propozycji (*Relac.* l. c. 3. 407), ale kobiety z oburzeniem je odepchnęły, wracającego zaś biskupa z ratusza, gdzie właśnie o tem radzono, przyjęły nie arey łaskawie; jak sam o tem powiada: „Chciałem przywieść Ichmościów, żeby prosili *armistitium* na deliberacyę i na pokrzepienie żołnierza, ażeby się znowu bronić. Uczynili tak, ale pospółstwo rozumiejąc, że już *deditio* — baby zwła-

szcza, bardzo mi źle traktowały, jako zdrajcę“ (*Ojczyste spominki* II. 169). Tu jeszcze nie koniec poświęcenia owych bab tak nie łaskawych dla duchownego senatora. Pięknice się wpisały w pamięci troskliwością w doglądaniu rannych, a siła ich była; naturalnie nie był to dozór sanitarny, w dzisiejszym znaczeniu, należycie uorganizowany, przedję dorywczy, wynikający z potrzeby, ale pewien porządek dostrzegać się daje w rozposażeniu pomocy, która się zasadzała, na wynalezieniu bezpiecznego kąta, garści słomy na posłanie, trochę jadła i wody, przedewszystkiem wody, w miasteczku nieposiadającym ani jednej studni, tak że po nią należało, pod gradem kul, dostawać się aż do zamku... O racjonalnej pomocy lekarskiej mowy być także nie mogło, cyrulicy stanowili o wszystkim, leczono ich w miesie 7, a niechybnie i regiment ks. biskupa krakowskiego, przysłany ku obronie zagrożonej placówki, musiał mieć swoich chirurgów. Otóż kobiety miejscowe wzięły w opiekę przynoszonych z pobojuwiska rannych; dwa klasztory otworzyły dla nich swoje podwoje: franciszkański i jezuicki, lokowano tu żołnierzy broniących zamku; w pierwszym stała na czele sędziwa Pawłowa Wołodyjowska, wraz z córką i synową, dopomagał jej poważny i wielce szanowany ks. przeor, Wiktor Wołodyjowski, rodzony brat męża staruszek... Ratując innych doczekali chwili dla siebie okropnej, bo obok rannych, przyniesiono i trupa Jerzego Wołodyjowskiego, który poległ tra-

giczną śmiercią, już po zawieszeniu broni. U jezuitów było najludniej, bo dozorczyni najenergiczniejsza — Wojciechowa Humiecka, rozporządzała znacznymi środkami, jak równie jej krewna Janowa Boguszowa, gospodarujące w szpitalu (przytulisku), tuż obok znajdującym się, a należącym do kościółka s. Łazarza; farskie przytulisko opuścić przyszło, bo je kule tureckie podziurawiły, jak rzeszoto... Obróńcy Lackiej bramy w dwóch szpitalikach znajdowali pomoc, mianowicie w należącym do cerkwi katedralnej Ś. Trójcy R. G. i do „greko-ruskiej Niebowzięcia najświętszej panny“; tutaj ojciec namiestnik episkopa lwowskiego, ks. Krakówka (na zwą go niektórzy i Krakowieckim), pilnie się krzątał, wraz z Franciszkową Pawliczową i Gontkową, bogobojną małżonką rzeźnika i ławnika Kamienieckiego. Ruska brama posyłała swoich rannych do szpitala ormiańskiego; tutaj jako troskliwie opiekunki występowały: zwolenniczka starego kultu, nieznaną unii, najzamożniejsza pośród kolonistów, Seferowiczowa, Berczatowa Isajewiczowa, żona wójta ormiańskiego i Manchulcowa... Słowem, gdzie potrzebna była troskliwa dłoń kobieca, tam ją znajdowali obrońcy warowni kresowej; i taka odwaga była w tych sereach białogłowskich, że przelatujące do koła kule nie czyniły na nie żadnego wrażenia (Korespondencya współczesna).

(D. n.).  
Dr. Antoni J.

blady z przerażenia, mówi dalej: „Panowie proszę was, wysłuchajcie mnie! Tak — jestem dobrze urodzonym... (ponowne okrzyki: „co nam do tego!“ świstania. Przewodniczący i sekretarz wśród ogólnego zamieszania gubią takt. Głos: „Panowie, w imię wolności głosu wysłuchajcie kandydata, który nas bawi!“ Śmiech). P. Tomkowicz: „Powtarzam, jestem dobrze urodzony, bo się urodziłem w Krakowie! (Śmiech w całej sali. Głosy: „I my także. Niech żyje mowa“). Mimo wrzawy w sali, kandydat recytował swą mowę do końca, upewniał w niej wyborców, że doskonale włada językiem niemieckim, że zarzuty jednych stronnictw przeciw drugim smutkiem go napełniają i tu opowiedział powszechnie znaną legendę Sienkiewicza. W ciągu tej deklamacji na sali zapanowała wesołość, trudna do opisania. Powiedział dalej, że chociaż jest konserwatystą, widzi braki i pragnie im zaradzić, że jest chrześcianinem i katolikiem, sądzi, że nie potrzeba się tego wstydzić, uznaje wszakże tolerancję, wynikającą z tradycji narodowej dla obcych wyznań, a w dalszym ciągu umizga się do starożykonnych.

Koroną tej mowy było oświadczenie kandydata, że wiele w tak krótkiej sesji parlamentarnej zrobić się nieda, *bo tego nie potrafiłby sam Bismarck*; nie potrzebuje dodawać, że w tej samej chwili śmiechy ustąpiły miejsca szczeremu oburzeniu. Wspominał jeszcze o potrzebie regulacji rzek i stacy dla bydła opasowego, a ze względu, iż mamy Matejkę, pożądanem byłoby uczynić ze szkoły sztuk pięknych akademię, bo dzieła sztuki mogłyby stać się przedmiotem wywozu. Przysłałyby się także budynki monumentalne. Kraków, który przestał być stolicą polityczną, mógłby stać się stolicą moralną. Posłem wybrano dr. Sokołowskiego, ale na długo pozostaną nam w pamięci wywody kandydata, który mówił za siebie i za stronnictwo. Przy tej sposobności zrobiliśmy dwa spostrzeżenia, mianowicie naprzód, że nie jest drobnostką, kto ma przewodniczyć zgromadzeniu, tembardziej, jeśli ono nosi cechę polityczną, że nawet jest to sprawą wielkiej wagi i doniosłego wpływu na umysły wyborców. Drugie spostrzeżenie jest smutne. Niejednokrotnie twierdzono, że ludność żydowska, tak licznie zamieszkała w Krakowie, jest już na tym stopniu i oświaty i poczucia obywatelskiego, iż niema różnicy w pojmowaniu dobra sprawy swojskiej czy narodowej między nią, a ogółem mieszkańców. Twierdzono, że kiedy inni biorą coś gorącego, oni również przyjmują udział, ale z wolna, z rozmysłem, bo mają zdrowy rozsądek, że tacy oni dobrzy jak i my, i byle tylko podać im rękę po bratersku, zdążymy niechybnie do wspólnego celu. I cóż się pokazuje od czasu do czasu, a obecnie zaznaczyć się najjaskrawiej? Oto podawano im rękę, ale kiedy ujrżeli, że w niej nie niema prócz ciepła miłości bratniej, odwrócili się i poszli do „wspólnego celu“, do faktora, który dawał pieniądze za głosy niezawisłych obywateli. A nie były to wyjątki jeno, ale masa wielka, która, wolna od uprzedzeń, targowała się to z tym, to z tamtym agentem. Zapisuję fakt, bo nigdy jeszcze dotąd nie zaznaczył się tak wyraźnie i otwarcie, jak dzisiaj.

Złożyło się, że tymi czasy wypadła pora i innych wyborów, notuję ich wyniki. Prezydentem miasta wybrany dr. Słachetowski, w Akademii umiejętności po ustąpieniu dr. Majera został prezesem dr. Tarnowski, sekretarzem dr. Smolka, wreszcie w Towarzystwie muzycznym wybrano prezesem dr. Kasparka.

W każdej innej porze rozwodzilibyśmy długo i szeroko nad przysługami i wadami wybranych, wróżylibyśmy przyszłość Akademii jak z kabały, kiedy indziej, ale nie dzisiaj. Naszem *dziś* to ona, naszem *jutro* ona — jak mówią, znawcy — boska, nieznana, wielka Modrzejewska! Nie-

stety, przedsiębiorca p. Glücksohn postawił tak wysokie ceny, że zachodzi obawa, czy naszem pożywieniem i napojem nie będzie — także ona.

P. Tomkowicz nie znał swoich wyborców, ale p. Glücksohn zna „swoje Papenheimer“ i wie, że nędza Galicyi nietylko nie oburzy się na odwagę spekulacyi, ale ochotnie wsunie mu do kieszeni kilkanaście tysięcy guldenów za przedstawienia z Modrzejewską. Znam ludzi biednych, którzy kupili drogie bilety na wszystkie wieczory, a ma ich być czternaście; widziałem lży żon i matek, wyciśnięte przez tyrańca męża, bo mając do wyboru kupno biletu i ciepłego okrycia dla synka, wybrał to ostatnie; widzę codziennie ludzi borykających się z niedostatkiem, co jak gad za szyję ich dławii, i tych biedaków w wilgotnych piwnicach, opuchłych z sińcami, jakie zadają sobie rozwściekani zimnem i głodem. Inam tu mówić o nowych torach, posłannictwie, o poprawie stosunków ekonomicznych, społecznych! Filantropia nasza i dobroczynność, to rządy błędnej gospodarki albo instytucje o nieodpowiednim założeniu, a całe nasze współzucie posiedli murzyni francuskiego kardynała.

Od murzynów do przedsiębiorcy teatru, na pozór daleka droga, ale przebędę ją, aby go... pochwalić. Rzecz niebywała, ale chwalebna za to, że reżyserję oddał w ręce p. Żelazowskiego i za to, że zaangażował p. Siennicką. I jedno i drugie zrobił we własnym interesie, ale tym razem i dla prawdziwego dobra sceny. P. Żelazowski, aktor inteligentny, myślący i pracowity, jako reżyser ma zadanie kilkakrotnie trudniejsze, niż na innych scenach. Czego on nie musi uczyć, szczególnie tych panien, którym dają rolę trzeciorzędne, a jednak skutki jego inteligentnej pracy coraz widoczniejsze.

P. Siennicka najzupełniej zasłużenie stała się wabikiem dla teatru, przyciągnęła publiczność nie toaletą, ani stosunkami, ale ową mądrą grą, która była marzeniem aktora i tym wdziękiem, po za którym ukrywa się nie banalność, ale myśląca kobieta. Przedsiębiorca rychło obliczył korzyści, a skoro ustąpiła ze sceny p. Sułkowska, on wierny swemu systemowi procentu składanego, opróżnione role oddał nowej artystce, obarczając ją ten sposób i tak już rozległy jej repertuar. Aktorka nie odmówiła tej nadwyżki pracy, słusznie jednak zażądała nadwyżki płacy na pokrycie kosztownych strojów, jakich wymagać będą nowe role. Mimo że wymagania były skromne, cera przedsiębiorcy zmieniła się.

Prócz p. Sułkowskiej, która usunęła się w zacisze domowe, ustąpili ze sceny: p. Lubicz, p. Zaleska i p. Konopka. Parę pierwszych skłonił podobno wzmożony popyt towaru, jakim handlują — mają magazyn paryskich strojów „Louvre.“

Z nowości wystawiono *Cieężkie czasy*, komedję Bałuckiego, słabszą od dawniejszych pomysłem i wykonaniem. Z teatru trącą o muzykę i zaraz skończę. Niejednokrotnie już w *Listach* wspominałem o dyrektorze Towarzystwa muzycznego p. Barabaszu, a zawsze z uznaniem dla jego rzetelnej pracy i talentu — i tym razem spieszę z pochlebną wzmianką. Wynajawszy dla Towarzystwa odpowiedni lokal, kosztem części własnych dochodów, urządził wieczory muzyczne bezpłatne, na których kojarzy się popularyzowanie muzyki z celem towarzyskim. Publiczność garnie się do tej nowości, a prasa nie szczędzi uznania dyrektorowi, który nietylko umie spełniać przyjęte zobowiązania, ale nawet z ofiarą wybiega po za ich zakres, skoro tylko widnieje cel piękny i dla ogółu pożyteczny.

Odczyty z zakresu higieny, urządzone staraniem Towarzystwa opieki zdrowia, są w pełnym toku; publiczność, zachęcona już w zeszłym roku formą przystępną, a treścią jedyną i pożyteczną, szczerze zapełnia salę i wdzięcznym oklaskiem darzy ofiarnych

prelegentów. Towarzystwu, które podjęło jedno z ważniejszych zadań w naszem społeczeństwie, życzyć należy jaknajszerszego rozwoju.

W klinice chirurgicznej doświadczenia ze szczepionką Kocha prowadzą się bez przerwy. Nie omieszkam donieść o stanowczych wynikach, na teraz zaznaczam, że spostrzeganie będzie bardzo dokładnem, każdy narząd z osobna badają specjaliści, a skrzętne obserwacje asystentów mieszczą w sobie nawet najdrobniejsze szczegóły. Niebezpiecznych powikłań dotychczas nie było.

Mor.

## DAŻNOŚCI DZISIEJSZE W ZAKRESIE ROZRYWKI I ZABAWY.

Drobnomieszczański radykalista angielski, Walter Besant, w jednej powieści (1882) przedstawił młodą parę, naturalnie pełną społecznego *Weltschmerzu*, a jednocześnie rozkochaną w sobie. Jak przystoi tego rodzaju idealom, On jest biedny lecz inteligentny i światowy, Ona — milionerka, trzymająca w tajemnicy swoje miliony. Miłość kończy się związkiem małżeńskim. Hydra antagonizmów społecznych zostaje zduszoną i hołysz bez grosza w kieszeni i praocjów w przeszłości podnosi się po drabinie społecznej — tylko dzięki temu, że posiada „oświatę“ w głowie i „dobre zasady moralno-społeczne“ w sercu. Mniejsza jednak o to. Najważniejsza rzecz, że młodzieńiec spowiada się przed dziewczęciem ze swoich rojeń i że w r. 1884 znalazł się milioner już z krwi i ciała, który przejął się marzeniami Besanta, włożonemi w usta młodzieńca, i ofiarował olbrzymią sumę dla wybudowania „Pałacu ludowego.“ Za tym przykładem poszli inni i już wiosną 1887 r. otwarto pałac, zbudowany w samym środku najuboższej dzielnicy Londynu. Przeznaczeniem jego jest dostarczanie „ludowi“ zdrowych i tanich rozrywek, któreby odciągnęły go od knajp i szynków, rozbudzenie w młodzieży chęci do wiedzy i danie jej materiału do rozmów i rozmyślań, wyrobień wśród tłumów smaku estetycznego. Nadto założono tutaj szkoły techniczne, mające umożliwiać wychowankom większe zarobki. Każdy posiada prawo do zwiedzenia gmachu z wszystkimi urządzeniami, rozrywkami, wystawami, lecz stale wolno zeń korzystać tylko tym, którzy zapiszą się na członków i będą uiszczali odpowiednią opłatę, wynoszącą w każdym razie najwyżej 3 szyl. kwartalnie. Prócz tego istnieje jeszcze ograniczenie co do wieku, mianowicie stałymi członkami są jedynie osoby lat 16—26. Członków było w końcu 1889 roku przeszło 5,000. Nadto każdy za pewną opłatą jednorazową ma wstęp na zabawy, koncerty, wystawy, urządzone w gmachu. W roku sprawozdawczym (1887—1888) dawano dwa razy tygodniowo koncerty, ilość zaś słuchaczy wynosiła po 2,500 osób — tyle mogło pomieścić się w sali. Co niedzielą odbywał się „koncert kościelny.“ Od czasu do czasu Pałac wydawał zabawy dla dzieci: sztuki magiczne, psy uczone, teatr marynetek — oto treść tych przedstawień. Czytelnia jest otwarta nawet w niedzielę, a nieraz liczba uczęszczających dochodziła dziennie do 6,000 osób. Wystawy następują jedna po drugiej: ptactwa (przeważnie gołębi), kwiatów, robót uczniów rzemieślniczych, psów, kotów, królików itd. Urządzono olbrzymie uroczystości jesienne, trwające 6 tygodni, a połączone z wystawą kwiatów i obrazów i przepłatane koncertami, turniejami gimnastycznymi. Trzysta tysięcy z górą osób zwiedziło wtedy Pałac ludowy. Szkoły techniczne dzienne dają młodemu pokoleniu wykształcenie zawodowe, odczyty zaś i wykłady wieczorne przeznaczono są dla dorosłych i dostarczają im bądź wiadomości praktycznych, bądź kształcą

naukowo, humanitarnie lub artystycznie. Ogromne sale są przeznaczone na gimnastykę, fechtunek i wogóle ćwiczenia fizyczne. Pałac ludowy daje też przytułek mnóstwu klubom — naliczyliśmy ich do 12 i bynajmniej nie jesteśmy pewni, czy wyczerpalimy wszystkie. Kilka razy do roku odbywają się wieczory tańcujące, na których bywa do 1,000 osób. Słowem, prócz stałych członków i uczniów półtora miliona osób przewinęło się przez bale, wystawy, koncerty i odczyty Pałacu ludowego w pierwszym roku istnienia.

Naturalnie, liczby te i rozmiary czynią niezwykle wrażenia na umysłach, wychowanych w tego rodzaju partykularzach kultury, jak nasz. Pałac ludowy wyrasta na cos olbrzymiego i nader trudno pozbyć się uczucia podziwu i ocenić należycie społeczne znaczenie tej instytucji. Januż np. został wprost zahypnotyzowany widokiem urządzeń Pałacu. Lecz podziw i uniesienie maleją w miarę tego, jak zbliżamy się do samej siedziby tego „cudu.“ Nasza porządna chałupa wiejska w wiosce murzyńskiej wyglądałaby na pałac, lecz w rodzimem otoczeniu pozostaje tylko chałupą. Podobnie i Pałac ludowy zyskuje nieco inne oświetlenie w warunkach miejscowych. Półtora miliona biletów jest cyfrą pokaźną, lecz pamiętajmy, że tyle niemal wynosi ludność wyrobnicza Londynu! \*) Nadto sama instytucja jest orężem walki klasowej, mniejsza że idącej pod hasłem braterstwa filantropijnego. Tę okoliczność rozpatrzmy drobiazgowiej, kiedy w jednym z dalszych numerów *Prawdy* będziemy mówili o wyprawie inteligencji angielskiej do ludu. Dzisiaj chodzi nam wyłącznie o podkreślenie całego ogromu zabawy zrzeszonej. Nie należy jednakże mniemać, aby Pałac ludowy londyński był jedyną tego rodzaju instytucją. Jest on jedynie najbardziej olbrzymią — nie więcej. I wzory, według których Besant kreślił swoje rojenia, były już oddawna gdzieś indziej urzeczywistnione. Właśnie mamy pod ręką ustawę wraz z opisem urządzeń „Kółka mühlhausenskigo“, istniejącego już od r. 1872. Gmach sam i środki pochodzą również, jak w Pałacu ludowym, z zapisów prywatnych. Do kółka należy też ogród zoologiczny. Członkiem może być każdy mieszkaniec miasta i pobliskich okolic za opłatą 8 franków rocznie ratami miesięcznymi, liczba zaś członków wynosi blisko 2,000. Posiadają oni wraz z rodzinami prawo wejścia na zabawy, koncerty itd. Mnóstwo klubów i towarzystw przytuliło się do Kółka: chóry męskie i żeńskie, orkiestry, muzyki wojskowe, gimnastyczne i dramatyczne, itd. W ciągu roku dano 9 przedstawień dramatycznych i tyleż odczytów, bankiet muzyczny, bal w połączeniu z koncertem, wieczorek dziecienny, dwie uroczystości gimnastyczne, kilka balów z celami dobroczynnymi; w ogrodzie zoologicznym urządzono 5 koncertów, 3 uroczystości gimnastyczne, jedno święto dzieciinne; wreszcie doprowadzono do skutku olbrzymią uroczystość ogólno-alsacką kółek gimnastycznych i muzycznych. Biblioteka liczy kilka tysięcy dzieł. Zresztą powody ukazania się Kółka mühlhausenskigo są dosłownie te same, co i w Londynie. „Instytucja została zorganizowana w celu zbliżenia i zjednoczenia obywateli z odmiennych warstw społecznych“ — „all sorts and conditions of men“ — wyrzekłby W. Besant. W Hawrze urządzono miejscowe kółko na nieco odmienniejszą zasadzie. Zebrano mianowicie kapitał 200 tysięcy franków; akcyonariusze oprócz procentu od włożonego kapitału posiadają prawo do niewiejszej, niż 2% dywidendy, reszta idzie na rzecz instytucji. Uczestnikiem może być każdy mieszkaniec Hawru, jeśli ma 18 lat skończonych i jest bez nagany — za opłatą 5 franków rocznie. Urządzenie całe jest podobne, jak w Mühl-

hausenie, z tą tylko różnicą, że sale są otwarte bezpłatnie dla stowarzyszeń wzajemnej pomocy i wzajemnej solidarności, izb syndykalnych itd. Rozprawy polityczne i religijne są stanowczo wykluczone.

Nie podajemy innych przykładów, gdyż przytoczone wystarczają najzupełniej do wykazania jednej z dążeń społecznych obecnej chwili. Jest to, że tak powiem, centralizacja, jeśli już nie samej zabawy, tedy miejsca zabaw i rozrywek. Zresztą centralizacja ta nie tylko nie zacieśnia indywidualności ludzkiej, lecz raczej umożliwia jej szersze poloty. Niegdyś w warunkach życia drobnoprzemysłowego zabawa ludzka nie wybiegała po za progi domowe i grono „przyjaciół domu.“ Człowiek w tym zakresie nie zawsze znajdował pokrewne sobie natury, z którymi zdołałby podzielić się myślami, uczuciami lub upodobaniami. Tymczasem z pomiędzy kilku tysięcy członków takiego klubu zawsze znajdzie się kilku gimnastów, szachistów, muzyków i śpiewaków. Nieznani zapisują się do odpowiednich grup i znajdują tutaj bratnie sobie charaktery. Centralizacja, nie nakładając najmniejszych wędzideł na indywidualność ludzką, umożliwia jednostce i grupom jednostek korzystanie z wszelkich udogodnień i przyjemności za nader niską opłatą. W Hawrze za 1½, w Mühlhausen za nieco więcej niż dwa, w Londynie za 5 rubli rocznie można użytkować z olbrzymich czytelni i bibliotek, wystaw, lokali, koncertów — i to niekiedy wśród wielkiego przepychu! W wszystkich powyższych wypadkach filantropia lub przedsiębiorczy interes zakładał miejsce zabaw. Lecz można spostrzedz usiłowania oparcia tego prądu na podstawie korporacji.

Różne stowarzyszenia spożywcze angielskie obracają stale część swoich dochodów na zorganizowanie dla stowarzyszonych spożywców gmachów zabawy i zebrań na wzór kółek Hawrskiego lub Mühlhausenskigo. Mamy tedy obecnie istotną dążność oddzielenia człowieka od posiadania, że tak rzeknę, narzędzi i środków własnej zabawy. Te ostatnie, zcentralizowane niekiedy na olbrzymią skalę, zostały przeciwstawione jednostce w sposób, niepozwalający jej myśleć o przywłaszczaniu. Zresztą stosunek ten, jak i wiele innych podobnej natury, jest wprost następstwem tegoczesnych metod produkcji. Nie dziw też, że nie Besant, ani Havre lub Mühlhausen wyłonili pierwsze w tym kierunku wzory. Pierwociny uspołecznionych narzędzi zabawy i rozrywki ukazały się pod wpływem bezpośrednim fabryki. Niektóre zakłady, zwłaszcza położone na prowincyi i gromadzące większą liczbę robotników, obok zbiorowych pralni i stowarzyszeń spożywczych zakładają często gmach klubowy. Przed nami leży mnóstwo podobnych opisów. Lecz tego rodzaju instytucje „patronalne“, powołane do życia przez same warunki bytu nowoczesnego, zbyt ciężą na uczestniku-najmiej, który w swoim klubie zanadto i za blisko czuje obecność opiekuna-pracojemcy. Urządzenia tego rodzaju, jak w Hawrze, uniezależniają jednego od drugiego. Atoli rozwój społeczny nie poprzestaje na tem, gdyż i same żywiołowo-materyalne dążności chwili i świadomość ludzka pchają wciąż dalej i domagają się jeszcze czegoś więcej, a mianowicie unarodowienia tego rodzaju instytucji, jak Pałace pracy, tj. stworzenia miejsc i środków zabawy, samokształcenia, zebrań itd., gdzie obywatele za odpowiednią, minimalną opłatą, w niektórych zaś razach bezpłatnie znajdowali by wszystko, co im potrzeba w tym względzie. Bezpłatne czytelnie i zakłady gimnastyczne już dzisiaj ukazują się licznie zwłaszcza pierwsze.

Lecz gdyśmy przyjrżeli się jednej dążności chwili obecnej, warto potrącić jeszcze o drugą łączną, mianowicie w jakim stosunku znajdują się pokrewne sobie kółka z rozmaitych miejscowości i jak ów stosunek rozwija się dalej?

Anglia dostarcza nam w tym razie wzorów najjaskrawszych. Weźmy chociażby związek klubów robotniczych, znany pod nazwą *Working Men's Club and Institute Union*. Łączy on obecnie 345 klubów politycznych, społecznych, kształcenia, zabawy, które pospołu posiadają 61 tysięcy członków. Przyjrzyjmy się ustawie: „Związek jest stowarzyszeniem klubów, przedstawiających wszelkie przekonania, lecz sam w kwestjach politycznych i religijnych trzyma się gruntu neutralnego.“ Wydaje on klubom stowarzyszonym karty, nadające prawo okazielem wejść do każdego pojedynczego klubu. Organizuje rozrywki i zjazdy gimnastyczne, żeglarskie, strzelania do celu oraz turnieje bilardowe, krokietowe, szachowe. Wyznacza konkursy i egzaminy z różnych dziedzin, a nawet dyskusje ustne. Urządza wycieczki do muzeów pod kierownictwem specjalistów. Służy radą i sądem polubownym, wydaje broszury organizacyjno-klubowe aż do tematów rozpraw i zabaw, posiada własny organ, zakłada nowe kluby, ma bibliotekę, z której wypożycza książki, i skład przyrządów naukowych i teatralnych, z którego udziela odpowiednio przedmioty pojedynczym klubom i nawet członkom. Kupuje masowo różne rzeczy zabawy i użytku klubowego i odstępuje po cenach kosztu.

Weźmy jeszcze Francję z jej 7000 „Orfeonów“ — użyjmy lepiej terminu swojego i powiedzmy — „Lutni.“ 1500 było chóralnych, 430 fanfar i 1200 „harmonij“ — razem 300 tysięcy członków honorowych i 210 czynnych. Rozchód roczny zbiorowy wynosił 35 mil. franków. Być może w obecnej chwili wszystkie te kółka i towarzystwa stanowią jedną połączoną całość, jedną armię krajową śpiewaków i muzyków. W Belgii znajduje się 1381, w Anglii 3751, nawet w N. Islandyi 145 kółek tego rodzaju. Lecz jeśli muzycy i śpiewacy dążą dopiero do zorganizowania się, strzelcy i gimnastycy uczynili to już w wielu krajach. Federacja belgijska gimnastów jest urządzona federacyjnie ze zjazdami lokalnymi i ogólno-krajowymi, z hurtowym kupnem środków gimnastycznych itd. Nie ulega wątpliwości, że w tego rodzaju „psychicznych“ społeczeństwach spoczywa wzór przyszłych stosunków pomiędzy ludźmi. Wyobraźmy sobie przyszłość według recepty Bellamy'ego, kiedy każdy ma dostęp do wiedzy i dzięki warunkom własnościowym jest oderwany od terytorium, byt zaś sam może przedstawiać powrót do kocującego trybu życia. W Anglii np., biorąc dzisiejszy stosunek osób zajmujących się jakąś nauką np. chemią lub fizyką, otrzymalibyśmy wtedy jakieś 20 — 30 tysięcy fizyków i chemików. Wspólność upodobań może ich skupiać w pomniejsze gromady po 100 i nawet 1000 osób i trzymać pospołu w tej samej odpowiednio olbrzymiej pracowni. Co więcej wśród tej liczby znajdzie się zawsze setka, którą będzie interesowało jakieś szczególne zjawisko i która zgodzi się pracować wspólnie i łącznie, jednocząc swą pracę w jednym korporacyjnym wysiłku. Jak wiedza będzie rozwijała się przy tej centralizacji narzędzi i współdziałaniu poszukiwań! Dla przykładu wyobraźmy sobie, że znalazło się 200 Estreicherów, którzy łącznie zabrali się do bibliografii. Pracę, która dzisiaj wymaga całego życia, ścieśnia widnokręgi umysłowe i wysusza mózg, dokonać będzie można w rok czasu. Wiedza będzie postępowala, mimo że człowiek zostanie zwolniony od dzisiejszych nadmiernych kajdan drobiazgowej specjalności. Zamiast dawnych rodowych i obecnych terytorjalnych ukazały się społeczeństwa psychiczne: fizyków, gimnastów, filozofów. Człowiek będzie należał do kilku i współdziałał temi samymi upodobaniami.

Słowem, centralizacja środków i narzędzi zabawy i nauki oraz unarodowienie ich z jednej strony, olbrzymie ogólnokrajowe

\*) T. j. każdy wyrobnik był tylko raz jeden podczas roku w Pałacu.

i nawet międzynarodowe społeczeństwa „psychiczne,” taką przyszłość rokuja istniejące już dzisiaj wzory.

K. R. Żywicki.

## BADANIA NAUKOWE.

### ESTETYKA PRZYRODY.

Ernest Hallier należy do najdzielniejszych dziś popularyzatorów w Niemczech. Nazywamy go popularyzatorem, gdyż dzieła jego zawierają umiejętnie zestawione wyniki studyów na polach najróżniejszych, powiązane pewnym wspólnym punktem widzenia, lecz nie otwierają prawd całkowicie nowych, nie zdradzają badań samodzielnych. Są one tem dla publiczności, czem wykład profesora dla słuchaczy w wszechnicy. Takim dziełem była jego *Historja kultury XIX stulecia w związku z rozwojem nauk przyrodniczych* (Enke, Stuttgart, 1889). Takim jest też najnowsze jego dzieło *Aesthetik der Natur* (tamże 1890). Książka ta ma na celu zapoznanie czytelnika z owymi punktami widzenia, które pozwalają lepiej rozumieć piękności przyrody. Poucza ona turystę, jak ma zwiedzać kraje, właściciela ziemskiego, jak urządzać swe pola, aby zadostę uczynić wymaganiom estetycznym, artystę wreszcie, na czem polega istota piękna w naturze. Takim jest praktyczne przeznaczenie „Estetyki przyrody,” lecz zawiera ona wiele ustępów, które i poeta i człowiek fachowy z pożytkiem przeczyta. Rozpoczynają ją wykład estetyki zastosowanej do celów autora. Hallier jest uczniem Vischera, stąd nie zupełnie wolnym od skłonności do metafizyki i dyalektyki, lecz przyznać mu należy, że samego siebie w karby bierze i usilnie stara się o pozostawanie na gruncie nauk przyrodniczych i o stosowanie metody indukcyjnej. Główną część dzieła poświęca rozpatrywaniu przyrody ze stanowiska estetyki. Autor objaśnia piękność linii, płaszczyzn, ciał, rozbijając świat nieorganiczny; zajmuje się niebem dziennem i nocnem, wulkanami, wodą. Przechodząc do życia, dokładnie przedstawia biologię roślin i zwierząt, dochodzi wreszcie do umysłowości zwierząt. Wynikiem badań tak obszernych jest stwierdzenie wyższości piękna przyrody nad pięknem, stwarzanem przez człowieka, zwłaszcza zaś w sztukach plastycznych. Piękno przyrody bowiem jest dramatyczne, kiedy rzeźby i malowidła są nieruchome. Nie zastąpią one nigdy ciągłego ruchu natury, wietrzyków i wichrów, deszczu i piorunu, lotu ptaków i owadów, skupiania się chmur, toczenia się nurtów itd.

Po ukończeniu tej części indukcyjnej, występuje metafizyka. I oto niestety w ową wstępującą rozdział o istocie estetyki i roznosi swe poglądy na estetykę życia ludzkiego, daje czytelnikowi ostatnią i najwdzięczniejszą może część swej pracy. Polemizuje on z poglądem Rousseau'a, który pisze w *Emiliu*: „Wszystko jest dobrem, kiedy wychodzi z rąk Stwórcy; wszystko pacy się pod ręką człowieka. Zmusza on kraje, aby wydawały obce im płody, drzewo, aby rodziło owoce drzewa innego; miesza i mąci klimaty, żywy, pory roku, „wszystko przewraca do góry nogami i zbezczerusza.” Hallier zwalcza przedewszystkiem mniemanie, jakoby działalność człowieka wychodziła poza obręb przyrody, była czemś oddzielnem, przeciwstawionem naturze, i dowodzi następnie, że działalność ta bynajmniej nie usuwa estetyki przyrody, lecz ją podnosi. „Dawniejsze życie znikło, lecz nowe zajęło jego miejsce. Człowiek wywołał zmiany, lecz nie zburzył równowagi. Wstrząsnął harmonię całości, lecz własna czynność jego znów ją reguluje.” Naturą zwykliśmy nazywać dziki step, las dziewiczy lub morze. Lecz czyż bujne łąki krajów cywilizowa-

nych, łąki, na których pasie się bydło ułaskawione, nie są naturą? Lew pożera hyję i panuje tam, gdzie ona panowała, człowiek pokonywa lwa i tworzy świat, odpowiadający jego potrzebom. Czyż i to nie jest naturą, naturą piękną? Czyż unormowanie czynności każdego członka społeczeństwa prawami rozumnymi nie jest estetycznem? Czyż życie społeczne nie wyrodziło się z wrodzonego popędu do tworzenia związków społecznych? Należy o tem pamiętać, że i sztuka ludzka jest wytworem przyrody. „Każdy naród ma budowy piękne, ma poetów i muzyków: sztuka — to właśnie natura człowieka!”

L.

## LITERATURA I SZTUKA.

### LISTY WIEDEŃSKIE

10 grudnia.

Wieczorek Mickiewiczowski. — Z życia artystycznego: salony sztuk pięknych i nowy klub artystów wiedeńskich. — Ruch na polu plastyki. — Nowe pomniki wiedeńskie.

Weześniej niż zwykle odbył się tego roku wieczorek Mickiewiczowski w Wiedniu. „Ognisko,” ponoszące trudy przygotowań, pragnęło urządzić go w sali Konserwatorium muzycznego, uświęconej tradycją. Szereg koncertów, zapowiedzianych na początek sezonu zimowego, zmusił tedy komitet do zaproszenia publiczności już na 23 listopada. Posłowie galicyjscy bawili jeszcze w kraju, gdzie sejm obradował, a publiczność polską stale w Wiedniu zamieszkała deszcz i szaruga wstrzymali od napływu liczniejszego. Wieczorek tedy odbył się nieświetnie. Nowy prezes „Ogniska,” p. Wyganowski, zagał go przemową, w której — podobnie jak poprzednicy jego w latach ostatnich — zaznaczył solidarną młodzież polską, kształcącej się w Wiedniu, z ludem, dla którego ona chce pracować i z innymi szczepami słowiańskimi, dla których bratnie żywi uczucia. Jest pewna jałowość w tych zapewnieniach, wygłaszanych z podium koncertowego, we fraku i z kwiatkiem w butonierze — ale cóż robić? Taka u nas moda. Część wokalmuzykalna zadowolić mogła smak wybredny. Najhucniej oklaski zebrała panna Lola Beth, artystka opery nadwornej, za odśpiewanie trzech pieśni polskich. Na fortepianie popisywały się panie Sawicka i panna Pogorzałek; na skrzypcach młody uczeń profesora Kochanowskiego, posiadającego obecnie szkołę w Wiedniu. Śpiewali jeszcze p. Borkowski i p. Guszałewicz, znany publiczności polskiej z poprzednich wieczorków Mickiewiczowskich. Na zakończenie nie wygłosił mowę, również jak w roku zeszłym, proboszcz kościoła polskiego ks. dr. Krechowicki.

Po wieczorku odbył się komers, w którym liczny udział wzięli studenci i oficerowie bułgarscy, kształcący się na wyższych kursach tutejszej szkoły wojskowej. Liczne też wypowiedziane przemowy; oklaskami przyjmowano zwłaszcza przemówienia studentów bułgarskich, czeskich i kroackich. Byli też obecni rusini, którzy stwierdzili, że mimo waśni narodowej w Galicyi, na polu oświaty ludowej młodzież ruska z polską zgodnie postępuje.

Z rozpoczęciem pory jesiennej salony sztuk pięknych w Wiedniu na nowo wrota swe rozwarły. W roku bieżącym przybyło nowe ognisko, wystawa „Klubu artystów wiedeńskich.” Jego powstanie i rozwój dowodzą, że życie artystyczne zawsze tu jeszcze na szerokiej opiera się podstawie. Wydział głównej wiedeńskiej „Künstlergenossenschaft” w ubiegłym roku popchnął wiele niesprawiedliwości przy przyjmowaniu dzieł nadsyłanych na wystawę. Urażeni artyści zeszli się na naradę i postanowili

otworzyć osobną wystawę, którą nazwali „Salon der Zurückgewiesenen” (salon odpalonych). Była ona dość licha, pomieszczona w budzie drewnianej; w ciągu roku jednak, który od tego czasu upłynął, „Salon odpalonych” przemienił się na „Klub artystów wiedeńskich,” liczący wielu członków poważnych, rozporządzający pokażniejszymi funduszami, a co najważniejsza, posiadający snąć dużo siły żywotnej. Klub ten wynajął obszerny lokal na Grabenie i otworzył świetną wystawę dzieł artystów wiedeńskich i zagranicznych. Tak znaczną jest siła przyciągająca nowego salonu, że „Künstlerhaus” w roku bieżącym nie mógł zebrać dostatecznego materiału na wystawę godną jego tradycji i poradzić sobie musiał wypożyczeniem galerii księcia Lichtensteina. Galeria ta mieści w sobie szereg słynnych arcydzieł, to też publiczność z wybiegu „Künstlerhausu” wcale była zadowolona. Obok dwóch tych salonów Kunstverein posiada nieustającą wystawę dzieł artystów współczesnych oraz mniejszą słynnych dzieł mistrzów zmarłych.

W salonach rzeczonych wyłącznie prawie reprezentowane jest malarstwo. Nie znaczy to, że rzeźba w Wiedniu upada lub że publiczność mniej się nią zajmuje. Owszem, sztuka ta kwitnie obecnie, a przypisać to należy licznym wnoszonym tutaj pomnikom. Stworzywszy bowiem szereg pysznych placów, otoczonych gmachami monumentalnymi, wiedeńczycy z równą gorliwością dbają o ozdobienie ich pomnikami lub studniami. Na tem polu żywszy panuje ruch, niż w innych stolicach europejskich. Zaledwie odkryto pomnik cesarzowej Maryi Teresy na Museumsplatz, a już odbyły się dwa wielkie konkursy rzeźbiarskie: przeszło dwudziestu artystów wiedeńskich współubiegało się o pomnik Goethego, mający stanąć w zieleni Volkstheateru, innym razem znów o pomnik Mozarta, mający zdobić plac obok opery nadwornej. Równocześnie Zumbusch, pracujący od lat wielu nad kolosalnym pomnikiem Radecckiego, czyni już przygotowania do wystawienia go na placu „am Hof,” przed gmachem ministerium wojny. Prócz tych wielkich otwiera się dla rzeźby wiedeńskiej mnóstwo wdzięcznych, acz mniejszych zadań. Poeta ludowy Raimund uczczony będzie pomnikiem, który ma być wzniesiony przed „Volkstheaterem”; z konkursu wyszedł jako zwycięzca młody rzeźbiarz Vogel. Podobnie na konkursie o pomnik Anzengruber'a zwyciężył zdolny a mało jeszcze znany artysta Jan Scherpe. Przed parlamentem wiedeńskim stanie wspaniała studnia z brązu i marmuru, pomysłu Hansena, wykonana przez Kundmanna. Na Wiednie znów z fundacji ś. p. Engla wzniesiona będzie studnia mniejszych rozmiarów; w konkursie zwyciężył Antoni Wagner, twórca słynnej studni, ozdobionej dziewczyną z gęsią. Prócz tego po części już powstało, po części projektują parę mniejszych pomników: i tak Liebenberg, burmistrz miasta Wiednia w r. 1683 uczczony został pomnikiem z granitu i brązu, wzniesionym naprzeciw uniwersytetu wiedeńskiego, Lenau okazałym biustem itd. Intrygi, panujące w wiedeńskim świecie artystycznym, sprawiają, że konkursy ważniejsze rozbijają się; to też na pomnik Goethego i Mozarta odbędzie się trzeci turniej; najwięcej pono szans mają ulubieńcy dworu: Tilgner, Weyr i Benk. Prawdziwy popłoch zaś sprawiła wśród artystów wiadomość, że ma wystąpić i Zumbusch.

Stwosz.

### NOWE DZIEŁA O REWOLUCYI FRANCUSKIEJ.

F. A. Aulard. *Recueil des actes la Comité de salut public avec la correspondance officielle des représentants en mission.* 2 vol. Paryż 1890.

Bezstronna historia Komitetu ocalenia publicznego dotychczas napisaną nie była,

dla tej prostej przyczyny, iż niezliczone teksty, które jedynie mogłyby jej służyć za faktyczną podstawę, ukryte były po większej części w cieniu archiwów. Mamy więc tylko albo panegiryki wielbicieli, albo też akty oskarżenia napisane przez wrogów. Toteż p. Aulard oddał wielką przysługę nauce, zbierając i ogłaszając rozproszone dokumenty. Dwa tomy, które mamy przed sobą dają nam jasny obraz początków, rozwoju i działalności rządu rewolucyjnego.

Pośród mnóstwa paladów wolności mieszczańskiej na pierwszym planie niewątpliwie postawić trzeba zasadę podziału władz. Już Rousseau, a głównie Montesquieu, wychowany na wzorach angielskich, ostrzegali przed tyranią, która z przekroczenia tej zasady wynikać musi.

Konstytuanta umiała tę przestrożę na pamięć i tak dalece się obawiała grzechu pierworodnego „pomieszanja władz” (confusion des pouvoirs), iż początkowo wzdragała się na samą myśl obierania ministrów z pośród deputowanych. Konwencja w zupełności podzielała te obawy i przekonania, nawet wówczas, gdy z zasady powyższej w praktyce nie pozostało ani cienia. Gdy na kilka miesięcy przed ustanowieniem „Komitetu ocalenia publicznego” Danton ośmielił się wyrazić żądanie, aby ściśnię węzły istniejące pomiędzy władzą prawodawczą a wykonawczą, wywołało to tak silne oburzenie, iż musiał się cofnąć i nadać swym słowom sens zupełnie odmienny.

W rzeczywistości wszakże Rewolucja ani przez chwilę nie przestrzegała swego ideału. Wprawdzie tu, jak i wszędzie, początek związany był z wielu trudnościami, ale, raz skosztowawszy zakazanego owocu, kroczono po tej drodze coraz śmielej i śmielej. Już w końcu r. 1789 Izba, przestraszona wieściami o spiskach, knutych po kątach przez reakcję, ustanawia komitet śledczy. To wkroczenie w prerogatywy władzy wykonawczej objaśnia się beczynnością tej ostatniej, obrabowaną na to, aby poparciem nieporządków zniechęcić ogół do nowego ustroju. Izba musiała też kilkakrotnie w ciągu następnego roku wyręczać niedbalstwo gabinetu: podczas zamieszek w Brest, w Belforcie. Nastąpiła ucieczka Ludwika XVI, jego detronizacja, najście cudzoziemców i cały szereg nieprzewidzianych przez teorię wypadków, które przymusiły Konstytuante bądź do chwilowego objęcia władzy wykonawczej, bądź też do wykonywania odrębnych jej funkcji (ustanowienie komisji 12, potem 25, utworzenie Rady wykonawczej przwizorycznej itp.).

Konwencja<sup>1)</sup> znalazłszy się w zapasach z daleko cięższymi niebezpieczeństwami, kroczy już bez wahania po tej drodze. Rok 1793 rozpoczął się od utworzenia Komitetu obrony powszechnej (Comité de défense générale) uposażonego znaczną władzą. W marcu na wieść o porażkach w Belgii wysłano 92 reprezentantów do departamentów, upoważnianych do przedsięwzięcia wszelkich środków, które się wydadzą niezbędnymi dla ocalenia ojczyzny. Wanda ostatecznie rozwinęła wszelkie iluzje: Rzeczpospolita znajdowała się nad głęboką przepaścią i ocalić ją mogły jedynie środki szybkie i potężne. Komitet obrony powszechnej okazał się niedostatecznym już pod koniec marca, szczególnie zaś po zdradzie Dumourieza. Konkretność władzy energicznej i nieograniczonej, która była w stanie rozwijać bezustanną potęgę dla odparcia coraz to nowych i gwałtownych niebezpieczeństw, staje się dla wszystkich oczywistą. Naprawdę Buzot powołuje się na *Contrat social*, naprożno zaklina swych towarzyszy imieniem Montesquieugo i Rousseau. Konwencja wydaje dekret, ustanawiający Komitet ocalenia publicznego i na usprawiedliwienie swe mogła ona śmiało powtórzyć zasadę starożytnych: *Salus republicae suprema lex esto*. Wręczając Komitetowi władzę nieograniczoną, Konwencja poświęciła zasady ocalenia Rzeczypospolitej, ale zaślepienie teo-

retyczne było tak wielkie, iż jednocześnie ogłoszono najdemokratyczniejszą konstytucję, jaka kiedykolwiek istniała, konstytucję, która była w zupełnej zgodzie z ideałami Rousseau'a. Pozostała i ona wszakże martwą literą.

Jaki użytek czynili ze swej władzy członkowie Komitetu ocalenia i reprezentanci jego w armii i departamentach? Aulard odpowiada na to pytanie na zasadzie dokumentów nowo-wydobytych i przedstawia nam tych ludzi w świetle zupełnie różnym od tego, jakie na nich rzucają oszczerzy i pamphleściści, kierowani pobudkami stronnictwami, które często się kryją pod osłonką „nauki,” jak to widzimy na olbrzymim pamphlecie Taine'a. Aulard pokazuje nam, iż postępowanie tych ludzi było ściśle zastosowane do konieczności historycznej i że w tych granicach odznaczało się nadzwyczajnem umiarkowaniem, rozumem i taktem. Autor zna swój przedmiot doskonale — jest lektorem historii Rewolucji na fakultecie literackim w Paryżu — i dał nam, można powiedzieć, pierwsze dzieło czysto naukowe w tej kwestyi.

Oczekujemy też dalszego ciągu z niecierpliwością, zwłaszcza, że p. Henryk Wallon ukończył nareszcie swą pięciotomową kompilację, noszącą następujący tytuł: *Les représentants du peuple en mission et la justice révolutionnaire dans les départements en l'an II.* Paryż 1889—1890. Dostateczną rekomendację tego dzieła daje nam ta okoliczność, iż autor jej jest członkiem Instytutu. Przedstawia ono taką olbrzymią kałużę oszczerstw, żółci i błota. Oto próbki sądów wydawanych przez p. Wallona: „Ludzie ci wyszli z czeluści piekielnych na nieszczęście rodzaju ludzkiego,” „sprawiedliwość, którą wymierzali była przeciwagą sprawiedliwości, o kodeksie czysto barbarzyńskim” (tom V str. 330). „Konwencja stworzyła z swych reprezentantów despotów, którzy jak Kaligula i Kommodusz, upajali się władzą; zniszczyła jedność Francji, aby postawić na jej miejscu nowy feudalizm” (tamże 333). Do takiego zaślepienia można dojść pod wpływem stronnictwa: Rzeczpospolitą „jedną i niepodzielną,” o najbardziej scentralizowanej władzy, jaka kiedykolwiek istniała, uważać za państwo feudalne — i to wszystko, proszę was, odbywa się pod płaszczykiem głębokiej, niepodkupnej „nauki.” Rozumie się, że gołąbek ten brzydzi się w najwyższym stopniu tyranią i stoi w obronie „wolności i równości.” A jako dowód przytoczę jeden z wielu kwiatów: „Rewolucja zniszczyła równość, gdyż szlachectwo, które było przywilejem, stało się ohydą.” Rozumie się autor nie szczędzi epitetów wymownych pod adresem Rady municypalnej Paryża, napadając na jej „despotyzm, tyranię” itp. Jakby w odpowiedzi na te insynuacje równocześnie z pamphletem Wallona, który zresztą wart jest przejrzenia dla masy materiału, fałszywie zresztą przez autora tłomaczonego, pojawiła się pierwsza księga dzieła Pawła Robiqueta p. t. *Le personnel municipal de Paris pendant la Révolution. Période constitutionnelle* Paryż 1890. Jest to historyki zaszczytnie znany z kilku zdolnie i bezstronnie napisanych o Rewolucji prac.

W obecnym tomie zastanawia się on nad historią Komuny prowizorycznej i konstytucyjnej (od 14 czerwca 1789 do 10 sierpnia 1791). Dokładny i szczegółowy ich rozbiór doprowadza go do następującego wniosku: „Przed ustanowieniem Komuny insurrekcyjnej z 10 sierpnia 1792 r. śmietanka trzeciego stanu, reprezentowana przez najznakomitsze nazwiska z dziedziny nauk, literatury, administracji i zawodów liberalnych pracowała z godną podziwu wytrwałością i gorącym patryotyzmem nad organizacją usług municypalnych stolicy. Jeżeli te starania częściowo nie dopięły celu, to trzeba obwiniać nie ludzi, którzy byli rozumni i dobrzy, lecz okropne warunki: brak wszelkiego kierunku ze strony władzy wykonaw-

czej, słabość Ludwika XVI, szalone prowokacje dworu, otwartą opozycję królowej, która rozpałała namiętności ludu, nareszcie zbrojną interwencję cudzoziemców i wychodźców” \*). Nic dziwnego, iż dzięki wszystkim tym okolicznościom Komuna paryska zesłała z drogi pracy spokojnej... Widzimy więc, iż zdania Aularda i Robiqueta pod tym względem w zupełności się zgadzają.

L. W.

## TALENT NA RYNKU.

### II.

Czy, że panna Rodziewiczówna pragnie dogodzić czytelnikom nie wybrednym, na podobieństwo Dumasa starszego lub Eugénusza Sue a więc jaknajsumienniejszym wywijać się z obstalunku, czy, że sama lubuje się w efektach z *Syna Szatana* Pawła Févala, dosyć, iż te osobliwe jej gusta psują nieraz jakiś przypadkowo zabłąkany skrawek roboty zdrowej i dobrej. Zmiana na lepsze, odbywająca się w bohaterze *Błękitnych* nie jest całkiem pozbawioną momentów udatnych. Jest psychologicznie prawdziwym, że widok i towarzystwo natury czynnej, szlachetnej, mimo niedole własne szczęśliwej posiadaniem celu życia i wielkiego daru pracy, działa na zapatrywanych uzdrawiająco. W naszym wieku często można dostrzegać ową zazdrość misji, energii, pogody i wewnętrznej jednolitości, która przechodzi niekiedy w istną miłość, i w każdym razie w głęboką sympatię dla tych, którym zawdzięczamy błysk nadziei, że jak śpiewa Lermontow, „i dla nas szczęście śmiertelnika jest dostępne i Boga widzimy w górze” bo wówczas „chmura z czoła znika i duszy ucichają burze.”

Na drodze tego wpływu magnetycznego jednostki zdrowej na chorą można było dojść do pewnych, acz nie wielkich rezultatów, bo to kuracja silna; ale owe banialuki na temat sporu granicznego, ukazywanie się widmowych postaci, strachy w lesie, przypuszczalne samobójstwo drugiego księcia, wywołane zgryzotami sumienia, że uwiódł „prostą” dziewczynę, wszystko to nie zgadza się ani z pełnem światłem dzisiejszego życia — możebne było tylko w dawnym *clair-obscur* — ani ze zwykłą etyką błękitnych, nie lubiących sobie psuć snu jakimiś tam widziadłami popełnionych win.

Szczytem przecież konsekwencji jest owa odmłodniała miłość dla ideału lat wiosnianych. Uczucie to, według autorki, tlało zawsze w sercu Lwa, nawet wówczas, gdy w nowożytnym Babilonie tulił doń codzien inną Fryne. Ależ w takim razie skąd się do tego serca wzięło zniechęcenie, czczość, pustka ciała ogołoconego z duszy? Póki świat światem, miłość była lekarstwem na *spleen*, który kończył się z chwilą, gdy ona przybywała i z nią razem w żaden żywy sposób w jednym łonie mieszkać nie może. Gdyby panna Rodziewiczówna знаła „zblazowanych” nie z intuicji, karmionej chyba opowieściami starych kobiet, lecz z psychologii i literatury — już nie mówię o obserwacji własnej, bo do niej nasze pisarki stanowczo uzdolnienia nie mają — uniknęłyby jednego z najbardziej krzyczących absurdów.

Sądzę zresztą, że do tego wystarczyłoby proste zastanowienie się, lecz gdzież tu wziąć czas i chęć do namysłu, skoro redakcja nagli a zaliczka już wzięta?

Jest u nas zwyczaj, że ilekroć trudno w powieści dopatrzeć się sensu, wynajduje się w niej — zaletę malowania takiej a takiej nieznannej sfery. Świadoma widocznie tej słabości naszej krytyki autorka udaje, iż rysuje dokładnie a szeroko charakter błękitnych. Nie możemy przypuszczać, ażeby p. Rodziewiczówna uważała ten swój

\*) Avertissement IV.

zamiar za szczery, bo inaczej nie wyglądałoby on pod jej piórem jak dworzenie i rycerze z operetki. Ich ruchy są zawsze rozkazujące, słowa zawsze gromiące; jeżdżą tylko ze switą lokajów i paziów, gdy w drodze, na spacerze, wypadnie wydać rozporządzenie, chronicznie piszą je na plecach sługi. Kozacy rozpychają przed nimi tłumy wieśniaków i małomieszczyków, bijących im pokłony; gdy ulubionemu kozakowi pali się sadyba, nie wolno mu opuścić na moment dworu, bo państwo się bawia i potrzebują go. Innym razem posłaniec nie zsiada z konia i robi olbrzymie kursy dla dogodzenia kaprysowi Lwa. Gdy rządca majątków, niemiec, nawiasem mówiąc tak wyposażony przez autorkę w łotrostwo, oszustwo i zło-dziejstwo, że aż święta ziemia pod nim drżałaby — przychodzi z raportem w butach juchtowych, książę pan, nie noszący takiego pachnidła, każe mu wziąć z kasy paręset rubli na nowe obuwie i lepszy tytoń. Ostatecznie, jakgdyby dla potwierdzenia kurierkowych plotek, na tłum obliczonych, administrator ów zarzuca na wszystkie dobra olbrzymią sieć wyzysku z pomocą różnych krewniaków, okrada chlebobadów na milion i daje nura! Włosy na głowie się jeżą! Czyż to w czemkolwiek gorsze od gwałtu nad Sewerem w *Onej*, od pastwienia się nad nim wuja, w biały dzień i w kraju więcej zaludnionym niż Sahara?

Kilkaset innych podobnych efektów dopełnia tej uroczej, w dobrym guście wiązanki, a najpiękniejszym jej kwiatem jest zewnętrzna scenerya powieści. Niewątpliwie czytelnikowi *Błękitnych* musi się zdawać, że rzecz dzieje się w jakimś starym burgu Habsburgów lub Hohenzollernów, albo w najlepszym razie w zamku z „Konrada Wallenroda“, „Grażyny“ lub „Ivahoe“ Waltera Scotta. Niema tu pokojów, tylko komnaty, sklepienia, olbrzymie skrzydła całego systemu gmachów. Radzibyśmy w ogóle wiedzieć, w jakim zakątku lub na jakich kresach kraju naszego autorka wykopala swoich książąt. Co do mnie, to sądzę, że — na ulicy Daniłowiczowskiej, w Teatrze Małym.

Gdy już się ma pojęcie o tem, jakie farby, akcesorya i manekiny — o modelach niema tu mowy — panna Rodziewiczówna posiada w swej pracowni, nie trudno odgadnąć, jakiego rodzaju będą dalsze jej utwory, a także pierwszy z nich — *Szary proch*.

Treść pozornie tylko różni się od innych motywów autorki; chodzi bowiem tak samo o jakieś organiczne zlanie się żywiołów odrębnych dla wspólnego dobra, o zasypianie przepaści. Jeno nie książę łączy się ze szlachką, lecz chłop żmudzki, spanoszony i zбо-gacony szczęśliwą służbą na okręcie, w której doszedł do stopnia kapitana, wraca między swoich. Przybył, ażeby wziąć od ojca błogosławieństwo na ślub z córką swego pryncypała, Niemca, bogatego kupca, i niespodzianie pod wpływem żywo rozbudzonej miłości dla wsi rodzinnej, jej dziewcząt, parobków, gospodarzów i księdza — zostaje, dając za wygrane wszelkim zamorskim swym rojeniom i planom. Jest to w gruncie rzeczy natura prawa i mało zepsuta zachodniowszczyzna; metamorfoza więc idzie względnie łatwo i sięga w końcu do rdzenia samego, do owych strun duszy ludzkiej, które znaczą więcej daleko a niż dźwięczą, głośniejsze daleko, niż głos troski o chleb powszedni, niż nawet miłość dla dziewczęcia i — własnego życia. Początkowo renegat, kaleczący mowę ojczystą i drwiący z prostactwa, w końcu staje się piastunem najdroższych i najświętniejszych tradycji swego sioła, a niedługo nad jego głową zajaśnieje może aureola męczeństwa...

Literatura nasza tak zasmakowała dzisiaj w cudach, wobec których Owidyuszowe wyglądają niemal jak prawda, że już z poddaniem przyjmujemy nowy ten wy-bryk estetycznej naszej maligny, w obawie,

żeby nas nie — zakrakano. Choć każdy przecie widzi i pojmuję, że łacniej monarcha pobierze się z szlachcianką, niż zniemczony parweniusz, lechtany przytem przedsmakiem milionów teścia, wróci do domowej zagrody, między szorstkie siermięgi, kupy mierzwy, orać w pocie czoła drogi „szary proch“. Ale już mniejsza o to. Najważniejsza, że wszystkie osoby działające, począwszy od starców, a kończąc na wyrostkach, są bohaterami. Troja nie wydała ich tylu, co ta jedna wioska. To istna miniatura *Tajemnic Londynu* z romantycznym markizem San-Remo, odbitym w kilku egzemplarzach płci obojga i przebranym w samodzielną koszulę.

Jest u nas zwyczaj, że się wyróżnia i nagradza na konkursach debiuty, nieraz licze i tylko na litosć zasługujące, dlatego, że podziw są „zacną, pocziwającą tendencją“. Może więc i w obronie p. Rodziewiczówny stanie przeciw nam faryzeizm i krzykactwo, oburzone na to, że nietykalną ideę przewodnią „Szarego prochu“ śmiemy brać pod skalpel. Odpowiedź damy prostą. Czyja myśl i uczucie są jałowe, jak piasek, ani do czynu, ani do zapalu niezdolne, bądź z powodu drętwości natury, bądź z powodu poziomego bardzo lotu, dlatego powieść z zaciętą lub szanowną tendencją może być chwilowo objawieniem. Ale nie wolno nam przypuszczać, że ogół nasz z takich wydm się składa. Bywa też, że powieść zwiastuje myśl całkiem nową, wtedy staje się ona pochodnią dla wszystkich.

Ale w tym wypadku niema ani motywu świeżego bezwarunkowo, ani świeżego względnie. Obowiązkiem każdego jest czuć tak samo, jak autorka. Nie jest żadną zgola zasługą, głosić myśli szlachetne, bo grzybów trujących żadna literatura, a tem bardziej nasza dobrowolnie płodzić nie chce.

My wtedy lubimy zachwycić się ukochanymi melodyjami, gdy nam je kto zagra z głębią, szczerością i siłą wyższą od codziennej, tuzinkowej, bo wtedy nas porwają i podnosi skalę własnego naszego uczucia i entuzjazmu. Tak czynili w ostatnich czasach Sienkiewicz, Orzeszkowa i Bolesław Prus. A panna Rodziewiczówna? Raz tylko w *Dewajtysie* zdobyła się na wirtuozostwo, a teraz oto w *Szarym prochu* jak gdyby umyślnie przybiera akcję ważną, zbawczą i oświecającą w pospolite efekty zabawy dziecięcej i stwarza nową odmianę — Rinaldiniego w Saskim ogrodzie. To naprawdę profanacja...

Dramat, co się rozegrał w Karewiskach nad Dubisą, ma też i swe tło rodzajowe: zielone łąki, złociste niwy zbóż, tęgich żmudzinów, ich zwyczaje, sposób mowy, śpiewy i zabawę. Plemię to — to kopalnia *genru*, połączonego z żywiołową siłą, i oko z rozkoszą błędziłoby po tych opisach, należycie wrażliwej i szczerej miłośniczki przyrody i krajobrazu, ale cóż kiedy boimy się poddać wrażeniu, w obawie, że te piosenki, rozmowy, zalecanki i modlitwy zaczerpnięte są z własnej intuicji. Autorka nie może przecież żądać, żeby jej malowidłom wierzone, skoro co krok posługuje się cudem i zmysleniem. Prócz cytów w języku litewskim, reszta nie daje żadnej rękojmi autentyczności i nie dziwiłbym się wcale, gdyby jakiś Piłkański lub Karewis, przeczytawszy *Szary proch*, wzruszył ramionami, zaklął i powiedział: *Ne supranu* — nie pojmuję, lub zapytał, w jakiej części świata żyją tacy ludzie. To pewna, że dzieła p. Rodziewiczówny nie będą źródłem dla etnologów i psychologów.

W *Błękitnych* i *Szarym prochu* czuć wyraźnie stopniowe pogorszenie się materyału. Nie dziwota — taki odbył! Wszystkie więc dodatnie cechy twórczości staniały, zordynarniały. Język, pierwotnie jędrny, łatwy, poetyczny i nader giętki a bogaty, zaczął już teraz parodiować dyalekt Pisma świętego i choć brzmi dla ucha mile, dla rozumu jednak jest już prawie stylem kazań i mów nadgrobowych księdza pro-

boszcza. Uczucie, ten cenny kruszec, którego p. Rodziewiczówna posiada tak wiele, jest w ostatniej książce znowu obfitsze i szersze, ale za to wpada w łzawość i mięką czułościowość. Wreszcie religia jej nagina się coraz bardziej do gustów kumoszek. W tym kierunku ku dołowi młoda pisarka mknie szybko i zająchać może tak daleko, że sobie zagrozi drogę do literatury poważnej, kunsztownej i dojrzalej.

Dziś już w fizyognomii jej zarysowały się jasno i dobitnie trzy znamiona. Każdy, co uważnie odczytał jej produkuje ostatnie, musiał dostrzedz: zamiast dramatu — *ja-setka*, zamiast poezji — *kantyczki* lub *życia* św. Genowefi, wreszcie zamiast malarstwa — owe pstre obrazki, które węgrzy roznoszą po chatkach, które sprzedają się na jarmarkach: św. Sebastyan, choć przeszyty tysiącem strzał i włóczni, ma pogodne oczy, św. Agata ma jedno oko o trzy cale niżej od drugiego, a Magdalena — serce płomienne na wierzchu, na ubraniu.

Ten sam nastrój, ten sam koloryt, ta sama prawda, ta sama tandeta.

Następcza się więc bardzo naturalnie wniosek, że p. Rodz. byłaby doskonałą pisarką dla ludu. Niewątpliwie, choć i tu by się przydały poprawki, bo nie wątpię, że dla ludu, najbardziej zabobonnego na świecie i przesadnego, takie pomysły, jak ów eud ze szkaplerzem, rzuconym przez odjeżdżającego więźnia na jego następcę, są bardzo dwuznacznej wartości. Piśmiennictwo ludowe ma przecież na celu — oświatę. Zresztą pytanie jeszcze, czy autorka tak dalece sympatyzuje z ludem. Przykre zajęcie — o którym doniosły dzienniki — z parobkiem, zakonione arcy dotkliwymi na niej skutkami prawa karnego, każe o tem upodobaniu wątpić.

Sprzedaj powieści na rynku gazeciarskim i hurtowne ich fabrykowanie na złe wyszło pannie Rodziewiczówny i inną jeszcze drogą: nie pozwala jej uczyć się. Powieść nasza jest wogóle pod pantoflem pisarek niedokształconych — nie mówimy rzecz prosta o Orzeszkowej, Konopnickiej, Marrenowej i Ostoi — te dużo umieją, a wciąż jeszcze uczą się. Piątą pojechała teraz do Genewy, ażeby przygotować się do studyów uniwersyteckich (!). Jest nią panna Kosiakiewicz — wybaczcie, że autora *Janka* muszę uważać za *pendant* do panny Rodziewicz — tylko kobieta może być tak gadatliwą, płodną i *genializowaną* przez prasę, mimo iż nie nie posiadając, nie pozytywnego nie może przecież produkować.

Otóż pannie Rodziewicz szczerze radzimy iść w ślady „panny“ Kosiakiewicz.

Cezary Jelenta.

## T E A T R.

Edmund Gondinet. *Mąż śpiący*. Komedya w 1-ym akcie. Oktawiusz Feuillet. *Miedzy Scyllą i Charybdą*. Komedya w 1-ym akcie. — Edward Lubowski. *Przez wdzienność*. Drobnostka sceniczna w 1-ym akcie.

W *Mężu śpiącym*, jak w innych utworach Gondineta, góruje wytworny dowcip i zręczne przeprowadzenie intrygi. Dzięki temu spoidłu treść blaha zaciekawia. Oktawiusz (p. Ładnowski), to typ dostatniego człowieka, żyjącego bez troski, który zawiązuje życie rodzinne po to, aby mu było wygodnie w domu. Miłość jest dlań zbyt ciężka. Żona wierna i skromna, to dopełnienie życia sybaryty lub słodki napój po trudach myśliwskich. A Oktawiusz jest zapalonym myśliwym, po kilka dni spędza w lesie na łowach, do domu wraca po to tylko, aby jeść i spać ku zmartwieniu młodej małżonki, Walentyny (p. Lude), która nie mając sama pociechy, chce inną uszczęśliwić narzuceniem dobrej partyi. Cecylia (p. Trapszówna), młoda, skromna panienka wiejska, nie daje się skusić namowom, bo kocha już Rudolfa (p. Prażmowski), ale sprytna mężatka używa podstępów, stara się przeko-

nać panie, że młodzieniec jest lekkim i nie kocha jej wcale. Dla utwierdzenia w tem przekonaniu zastawia sieci swej zalotności i łapie w nie bardzo prędko gorącego młodziana. Posądzenie o wdowieństwo ułatwia jej fortel. Cecylia, przekonana o niewierności kochanka (który wprawdzie nie wyznał jej jeszcze swych uczuć), rozumie się, boleje nad tem. W chwili gdy Walentyna zdołała zupełnie opłatać Rudolfa uśmiechem i wzrokiem, zjawia się jej mąż z polowania. Tu intryga dosięga szczytu, następują szybko żywe sceny nieporozumień i udawań. W „Nemrodzie“, któremu młodzieniec wyznał swój zachwyt, budzi się zazdrość i... miłość dla żony zaniedbywanej, dla której postanawia nadal zawiesić strzelbę, a włożyć... pantofle i szlafrok. Błyskawiczna miłość Rudolfa błyskawicznie przemija, a z taką samą szybkością powraca sympatya dla Cecylii. W tym razie autor żąpy lekkością budowy sztuki, widocznie uważał za zbyt ciężki materiał prawdę psychologiczną.

Mniej szczęśliwą była myśl wprowadzenia na scenę jednoaktówki Feuilleta. Henryk Latournelle (p. Wolski) boleje nad brakiem wykształcenia i bystrości umysłowej swojej żony Odetty (p. Czak). Burzliwa jego rozmowa z teściową, panią du Vernage (p. Noiret), budzi dłań współczucie w słuchaczach. Przedstawiamy sobie smutny obraz męczarni duchowej tego człowieka, który związany na całe życie z istotą płytką, niezdolną, musi się czuć samotnym, nie mając przed kim swych poważnych myśli wynurzyć. Przygotowujemy już chłodne przyjęcie dla tej kobiety bezmyślnej, ale w chwili, gdy gwałtowna rozmowa przekracza miarę, teściowa przed ukazaniem się Odetty zdradza jej tajemnicę. Ta „płytką“ kobieta, kształcąc się pokrywom, zdobyła patent w Sorbonie i zamierza jeszcze złożyć wyższy egzamin. Tu pomieszanie i zakłopotanie męża zaczyna być zagadką, która wkrótce się wyjaśnia. Odetta, niekrepująca się już tajemnicą, ubarwia rozmowę przy obiedzie terminologią chemiczną, każe mężowi podać chlorek sodu, ten zaś nalewa jej wody sodowej. Następuje po tem ujawnianie wszechstronne nieuctwa człowieka, bolejącego niedawno nad płytkim umysłem żony. Dochodzi do tego, że sawantka poprawia błędy męża w mowie. To już go przeraża, tłumaczy się, że chciał żony rozwiniętej a nie uczonej, prosi ją więc o zaprzestanie dalszych studiów i następuje największa niespodzianka: Odetta zgadza się na to po darowaniu jej... konika. Ten konik przeskakuje i omija nietylko psychologiczne, ale nawet logiczne drogi. Kobieta, pochłaniająca z chciwością i cierpliwością wiedzę, wyrzeka się jej nadal dla podarku, a nawet zdaje się to było głównym bodźcem do pracy umysłowej. Za kosztowne środki przypodobania się dla zdobycia konika!

A teraz czemuż jest ów pan Latournelle? Doprawdy trudno rozpoznać tę zamazaną postać. Już w szerokiej dyspacie pedagogicznej z teściową najważniejsze i najciekawsze zagadnienia pomija milczeniem. Pani de Vernage zrobiła wszystko, co może zrobić kobieta o zasadach konserwatywnych. Dała córce wykształcenie, jakie sama posiadała, unikając nawet „nie-tosownych“ epizodów biblijnych. Z tego powodu Odetta nie wie, kto była Salomea i tem kompromituje swego męża na wystawie obrazów. Ale przecież małżonek poważny i wykształcony powinien rozwinąć umysł i wiedzę swej towarzyszkii życia. Usiłował to robić, jak zapewnia i trafiał na opokę tępego umysłu. Nie rozbił jej, a więc sam musi być bezsilnym. Co gorsza — podczas pokrywomego kształcenia się żony nie umiał poznać jej rozwoju umysłowego, który przecież, pomimo najstaranniejszego ukrywania, nie może w codziennem pożyciu ująć uwagi inteligentnego małżonka. A więc jest on — zerem? Staranna gra artystów pozwoliła

wysłuchać z cierpliwością tej sztuki do końca.

Trzecią z kolei na widowisku wtorkowym była zgrabna drobnostka sceniczna p. Lubowskiego p. t. „Przez wdzięczność.“ Są w niej ludzie idealnie dobrzy. Zaczyna Marzycki (p. Tatarkiewicz), młody urzędnik, ma zanego lokaja Wojtusia (p. Szymanowski), którego od śmierci głodowej ocalał i przygarnął, powierzając całe swe mienie jego opiece. Ma on także zanego wujaszka Skrzydłowskiego (p. Leszczyński), który zapobiega licytacji ruchomości, płaci długi siostrzeńca i przeznacza mu stałą pensję, która jest tak znaczną, że wystarczy nawet dla przyszłej żony. Wujaszek jest to krzepki stary wiarus, lubi kobiety i hulanki, lubi to samo jego siostrzeńca i tem go ujmuje. Wierny Wojtus przez wdzięczność swemu panu wyświadcza zawsze przysługę niedźwiedzią. Raz opowiada interesantowi, niby oglądającemu mieszkaniu do wynajęcia, o miłośkach z wdową, nie wiedząc, że to był przyszły teść jego pana; później zwierza się przed tą wdową ze swej nierozwagi, nie przypuszczając, że tym sposobem poróżni kochankę ze swym chlebodawcą. Chcąc się poprawić, opowiada lichwiarzowi o niebywałych bogactwach Maszyckiego i sprowadza... komornika. To samo prawi bogatemu wujaszce, ale na szczęście scena licycyjna wyjaśnia całą prawdę i dalej wszystko idzie gładko i pomyślnie.

Zenon Pietkiewicz.

## FEJLETON.

### LIBERUM VETO.

Zdanie cesarza niemieckiego o pochodzeniu dziennikarzy. — Ich uzdolnienia umysłowe i zarobki w Niemczech. — *Ditto* u nas. — Postęp w ciągu czterech wieków. — Wytwór sztuczny. — Uniwersytet katolicki we Freiburgu założony sumptem naszych panów. — Tytuły dla pożądanego zięciów. — Wystawa galerii p. Temlera. — Obraz Siemiradzkiego. — Wybory do Towarzystwa kredytowego m. Warszawy. — Kandydatura zaprotestowana. — Wszystko jedno.

Cesarz niemiecki, przemawiając w komisji szkolnej, wyraził się lekceważąco o dziennikarzach, twierdząc, jakoby oni rekrutowali się głównie z emigrantów gimnazjalnych i głodomorów niezdolnych do innego zajęcia. Prasa niemiecka odpowiedziała na tę uwagę bardzo energicznym protestem, dowodząc, że jej armia posiada najwyższy stopień ukształcenia, a dowódcy pobierają pensje, których im zazdrościć może niejeden dostojnik państwowy. Rzeczywiście tak jest. Mieszkając w Niemczech, pomimo że wiadomy był mi wysoki poziom ich oświaty, dziwiłem się ustawicznie, jak nisko w warstwy społeczne sięgają tam tytuły naukowe. Tak np. w urzędach policyjnych, odpowiadających naszym cyrkulom, spotkać można doktorów filozofii na posadach kancelistów lub sekretarzy. Dłaczegóż by więc oni nie mieli być w dziennikarstwie, dłaczegóżby naród, który wykształca w uniwersytetach tylu ludzi, że oni często muszą się chwycić ostatnich zajęć, nie posiadał ich dosyć dla tego rodzaju pracy, który wymaga wiedzy i zdolności umysłowych? Byłoby to dziwne tem bardziej, że owa wiedza i zdolności są w tej sferze opłacane bardzo hojnie. Nie jest to wcale frazesem, że wielu redaktorów (nazwa ta służy wszystkim współpracownikom głównym i stałym) gazet niemieckich otrzymuje honoraria, które przewyższają pensje ministrów. Ażeby dać czytelnikowi wyobrażenie o środkach materialnych prasy tamtejszej, dość gdy powiem, że np. *Frankfurter Zeitung* zamieszcza w tej porze *telegrafowane* z Berlina: mowy posłów sejmku niemieckiego, sejmku pruskiego, członków komisji szkolnej, ar-

tykuły swych redaktorów berlińskich, a nadto kilka kolumn depeesz politycznych i handlowych — razem kilka tysięcy wierszy petitowych. My, którzy podziwiamy *Kurier warszawski*, drukujący dwie lub trzy szpalty „telegramów własnych“, zaledwie możemy pojąć zasoby dziennika europejskiego, który posługuje się tak drutem telegraficznym, jak pocztą lub komisyonerem, ale możemy się domysleć, jakie zarobki przypadają kierownikom przedsiębiorstwa tej miary. Redaktor zagraniczny pobiera często kilkadziesiąt tysięcy marek rocznie. Nie są to więc w Niemczech ani niedonki, ani głodomory.

Przeciwko twierdzeniu Wilhelma II odezwało się i u nas kilka głosów, a chociaż nie wspomniano przytem o własnych pretenzyach, czuć jednak było solidarną obrazę. Czy my w prasie mamy emigrantów gimnazjalnych? Niewątpliwie, ale przyznać trzeba, że nie tak wielu, jakby wymagała różnica naszej oświaty od niemieckiej i że kwalifikacje naukowe dziennikarzy polskich w ostatniej ćwierci wieku podniosły się znacznie. Połowa redaktorów naszych posiada wykształcenie uniwersyteckie i zaledwie paru nie przeszło gimnazjum. Przed 25 laty stosunek ten był całkiem odmienny. Wówczas wychowawcy uniwersytetów zajmowali rozmaite urzędy, a dziennikarstwo rekrutowało swój zastęp z ludzi, którzy w tornistrach mieli buławę hetmańską ale bardzo mało duchowego chleba. Dopiero ucząc innych, uczyli siebie. Dziś na 50 kilka pism wypada 27 redaktorów, a chyba przeszło 100 współpracowników, którzy odbyli wyższe studia. Ilu z nich uprawia dalej niwę naukową, a ilu puściło ją odłogiem — to inna sprawa, której tu rozstrzygać nie będziemy. Daleko gorzej przedstawia się kwestya żołądka, niż głowy. W przeważnej większości pisma nasze nie pokrywają swych kosztów dochodami, lecz zasilają się bądź osobistym majątkiem wydawców, bądź zewnętrzną zapomogą. W takim ubóstwie i zarobki pracujących muszą być małe. Podobno w całej naszej literaturze jest jeden tylko pisarz, który na nie się nie skarży i pobiera honoraria europejskie, mianowicie p. Sienkiewicz. Jeżeli prawda jest, że za małą i słabą powiastką „Ta trzecia“ zapłacono mu 3,000 rs., to rzeczywiście dosięgnął chyba najwyższej skali wynagrodzeń literackich. Inni autorowie znani mają pobierać po kilkanaście kopiejek od wiersza, wątpliwie wszakże, czy takich szczęśliwców jest obecnie pięciu. Reszta otrzymuje od 2—5 kopiejek, co przy pomysłnych stosunkach i płodności wynosi od 30 do 100 rs. miesięcznie. Nie sądzę, ażeby w Warszawie było 10 redaktorów zarabiających po 3,000 rs. rocznie. Wszystkie więc sklepiki naszej prasy są dosyć biedne i zmieszcilyby się wygodnie wszystkie razem w jeden zamożny dziennik europejski. Przypuszczam też, że wielu kierowników opinii publicznej i mistrzów wiedzy porzuciłoby swoje godności dziennikarskie dla służby innego rodzaju, gdyby ją zdobyć mogli. To też nasza prasa jest poniekąd wytworem sztucznym, odpowiada raczej potrzebom piszących, niż czytających. Z chwilą, w której dla jej pracowników otworzyłyby się inne pola działania, zaczęłyby się kurczyć szybko i zeszlaby do połowy swych organów obecnych.

Jeżeli prawdziwą jest nowina, ogłoszona przez *St. Peter. Wiedomosti* i powtórzona przez dzienniki zagraniczne, wkrótce powstanie w Europie szkoła, z której będziemy mogli sprowadzać sobie redaktorów i literatów najwyższej próby umysłowej. Mianowicie we Freiburgu (szwajcarskim) ma być założony uniwersytet katolicki, na który „znaczących sum dostarczyło kilku magnatów i kapitalistów kraju Nadwiślańskiego“, profesorskich zaś sił — „księża i uczeni krakowscy.“ Watykan poparł również tę błogosławioną instytucję, a nawet sam papież objął kierownictwo wydziału teologi-

cznego. Studenci tego uniwersytetu będą, o ile środki jego starczą, uwolnieni od wszelkich opłat i kosztów. Cała ta fantastyecznością bajki lśniaca wiadomość wydaje się dosyć prawdopodobną. Bo gdyby ktoś powiedział, że „kilku magnatów kraju Nadwiślańskiego“ postanowiło dać 300 rs. zapomogi dla kształcenia się pastuszkowi, który objawił wielkie zdolności rzeźbiarskie, bez przekonywających dowodów nie uwierzyłbym; ale skoro chodzi o uniwersytet katolicki — za granicą — pod opieką Watykanu — to co innego. Do takich celów ofiarności naszych panów zapala się chętnie i goręje trwale. Nie rozumiem tylko jednej zagadki: po co tym panom nowy uniwersytet katolicki na obcym gruncie, kiedy posiadają dawny na własnym — w Krakowie? Wprawdzie do wszechnicy Jagiellońskiej wolno uczęszczać innowiercom, wprawdzie do składu profesorskiego zakrada się czasem jakiś heretyk, ale wszystko to na ogólny charakter instytucji nie wpływa. Jest ona tak prawomysłna, że papież mógłby być nietylko dziekanem wydziału teologicznego, ale nawet rektorem. Wido- cznie osądzono, że jeden grzyb dla nadania smaku barszczowi polskiemu nie wystarcza i że trzeba dodać drugi.

Zapytasz jeszcze może czytelniku, w jaki sposób zużytkowywać będą swe dyplomy doktorowie uniwersytetu frejburskiego, jeżeli państwo kościelne nie zostanie wskrzeszone? Będą one tak piękne jako dekoracya ludzi dobrze wychowanych i gruntownie ukształconych, że posiadacze zaszczytnych tytułów zrzekną się wartości praktycznej. Zresztą w życiu i ta wartość się znajdzie. Pomyślcie tylko, jakie to doktorowie uniwersytetu frejburskiego mieć będą pyszne kwalifikacye na „naszych zięciów“ i ile bogatych żydówek z roskoszą i zachwytem padnie im w objęcia! Kto wie nawet, czy nie głównie dla nich ta okazała wszechnica zostanie założona! Bo podobno już herby, nazwiska, tradycye i inne blaszki magnetyczne przestały działać.

P. Ludwik Temler wystawił na widok publiczny swoją prywatną galerię obrazów dla pomnożenia funduszu, zbieranego od lat wielu na budowę domu Towarzystwa sztuk pięknych. Społnił on przez to dwa dobre czyny: naprzód przypomniał ogółowi sprawę do archiwum złożoną, a powtóre ukazał szereg płócien pięknych i cennych. Gdyby nie ta wystawa, doprawdy zapomnielibyśmy, że kiedyś narodziła się myśl wytworzenia własnej siedziby dla Towarzystwa, że zebrano na nią jakiś fundusz, że go trzeba dopełnić. A ostatecznie trzeba. Przyjemniej by nam było, gdyby zebrane pieniądze odlegiwały się w depozycie aż do dnia sądowego i nie trapiły nas obowiązkiem dalszych ofiar; ale cóż robić, kiedy niespokojni ludzie zdejmują kamień z mogiły i każą zmartwychwstać letargicznemu projektowi.

Zbiór p. Temlera jest bardzo ładny i składa się z płócien starych oraz nowych wysokiej wartości. Prawie wszyscy znakomitsi artyści nasi są w nim reprezentowani: Matejko, Brandt, Chelmoński, Fałat, Kowalski itd., a między nimi także Siemiradzki. Wyosobniłem go dla zrobienia jednej uwagi: czy można byłoby żądać od ludzi bogatych, ażeby kupowali obrazy, zwykłe kosztowne, gdyby wszyscy artyści tak wywyżczali się z obśtalunków, jak twórca „Jawnogresznicy“? Jego płótno, malowane na zamówienie, należy stanowczo do najgorszych w galerii p. Temlera i nosi wyraźne ślady roboty lekceważonej. Patrząc na nie i tylko na nie, trudno uwierzyć, że jest to utwór pędzla europejskiej sławy, tego samego, z pod którego wyszły „Świeczniki Chrześcijaństwa.“ Siemiradzki prawdopodobnie nigdy nie przypuszczał, że ten obraz będzie kiedykolwiek wystawiony publicznie, w przeciwnym razie byłby więcej dbał o swoje nazwisko, jeśli nie o cudze zadowolenie. Powinno to być przestroga dla

artystów, sprzedających swe płótna galeriom prywatnym.

Szkoda i ze względu na cel i ze względu na publiczność, że z p. Temlerem nie połączyli się inni posiadacze zbiorów podobnych i nie urządzono wystawy większej, na jaką Warszawa zdobyć się mogła. W salonach ludzi zamożnych znajduje się u nas wiele obrazów znakomitych i ogółowi nieznanym. Korzyść dla Towarzystwa i widzów byłaby znaczniejsza, a ofiara ze strony właścicieli bardzo mała. Boć żaden nie straciłby na tem, że tysiące oczu obejrzałoby to, na co kilka lub kilkadziesiąt patrzy. Dla zazdrości zaś niema tu miejsca.

Niema go już dla zazdrości o krzesło w komitecie Towarzystwa kredytowego m. Warszawy, gdyż wybory się odbyły i po p. Nagórnym wyszedł z urny zwycięzca p. E. Leo. Sfera naszego życia leży po za sferą właścicieli domów, synekur, dochodnych posad i wogóle Towarzystw finansowych, więc tylko na kredyt cudzych zapewnień powtarzamy, że tegoroczne wybory „budziły nadzwyczajny interes“ a ruch agitacyjny był niezwykle natężony. O ile z całych słów i półsłówek mogliśmy wyrozumieć, chodziło o jednego z trzech ustępujących członków komitetu (dwaj, pp. S. Bloch i A. Temler mieli powrót zapewniony), ściślej mówiąc o p. E. Leo (czy redaktora *Gazety polskiej*?) Na kilka dni przed wyborami *Wiek* zaprzeczył temu kandydatowi praw wybieralności. Według tej gazety „pod dniem 27 listopada r. b., a więc przed piętnastu dniami, sporządzony został przed regentem Jąłowickim akt, mocą którego p. Edward Leo nabył 1/6 część nieruchomości od jednego z przemysłowców warszawskich za sumę 4,000 rs., przyczem 2,890 rs. pozostało na hypotecę, jako resztujący szacunek. Tym sposobem za 1,110 rs. p. Leo pozyskał tytuł własności, a z nim prawo zajęcia urzędu członka komitetu nadzorczego.“ W tym fakcie *Wiek* widzi „obejście ustawy i forytowanie w jakibądź sposób przez władze Towarzystwa swoich kandydatów,“ co prowadzi do „zupełnego znihilowania systemu wyborczego w Towarzystwie Kred. m. Warszawy i zaprowadzenia absolutnych rządów kilku potęg finansowych.“ Przeczytałem wszystkie sprawozdania z obrad przy wyborach — nikt z *Wiek*iem przeciwko kandydaturze p. Leo nie protestował, a na 550 głosów oddano mu 306! Czy więc ja i wy czytelnicy mamy protestować? Ani myślę. Gdyby nie wszedł był do komitetu p. Leo, byłby wszedł jakiś inny pan może z większym i zasadniejszym prawem własności, ale co by na tem ogół zyskał, że nie Paweł, ale Gaweł dostał ileś tam rubli rocznie? Nie, tu moje *liberum veto* nie ma celu.

*Posel Prawdy.*

## Z D A L A.

„Kustarstwo“ w obrazie Korolenki. — Legendarny jego początek w Pawłowie. — Oplakany stan obecny. — Walka z przekupniami. — Czem jest przekupieństwo. — Jego teorye.

Znakomity beletrysta ruski, Korolenko, poświęcił swe pióro ofiarom żywiołowych sił rynku — wytwórcom drobnego przemysłu domowego, „kustarom.“ Opis jego nie jest obrazem całej drobnej produkcji przetwórczej w Rosyi, raczej fotografię pewnej osady „kustarnej“ w Pawłowie nad Oką\*). Uważać go jednak można za wspólny dla wielu innych. Cechy bowiem tam znalezione odnajdą się z łatwością i gdzieindziej, jako stałe. Szkice Korolenki odśladają nam utwór „kustarny“ i są wspaniałą epopeją walki przedśmiertnej i upadku domowego przemysłu w Rosyi, konającego w twardych objęciach „skupuszczyków-kulaków,“ tj. przekupniów pośredniczących między nim a rynkiem.

\*) *Pawłowskie ocerzki* (Szkice pawłowskie). *Ruska-jo Mysl*, 1890, zes. z września, października i listopada.

Osada Pawłów wraz z wsiami okolicznymi trudnią się ślusarstwem, przeważnie zaś wyrobem zamków. Początki tego przemysłu wyobraźnia kustarników ubrała w mgłę wysoce charakterystycznej legendy.

„Dawno to już było — mówi ona. Umyślił dyabeł zgotować ludziom piekło jeszcze za życia, tu na ziemi. Udał Niemca i nawiązał się bogatemu dziedzicowi, hrabiemu, który przemieszczał się za granicą. „Oczemu to u ciebie — powiada — ludzie chodzą tylko koło roli? Postaw w majątku fabrykę. I dochód z tego będzie i poważanie.“ Zgodził się dziedzic, sam został za granicą, a Niemca posłał fabrykę budować. Zbudował ją Niemiec pierwszą w Pawłowie i zaczął kuć żelazo. Mieszka sobie dziedzic za granicą i dochody przyzwoił pobiera. A zachciało mu się raz odwiedzić swoje dobra i zobaczyć, jak też tam pracują w fabryce. A pan był dobrego serca i miał litość dla swoich ludzi. Nadszedł akurat wtedy, kiedy z pieca wyjmowano rozpalone żelazo. A żelazo to czerwoniuseńkie, syczy, trzaska i przyska żuzłem na wszystkie strony. Kiedy przyciągnęli je do kowadła, jak gruchnie po niem młot stupodowy, jak buchnął od niego płomień a iskry... Wszelki duch!.. Ludzi z po za ognia nie widać. Złakł się dobry pan i woła: „A dać tu Niemca! Nie wiedziałem, skąd moje dochody. W piekło wagnałem ludzi dla nich.“ I kazał hrabię fabrykę zburzyć, a Niemca gdzieś zniknąć. Ale iskry z pieca fabrycznego rozleciały się daleko po Pawłowie i zapłonęły setki małych pieców. Zakolatały po chałupach młotki, zazgrzytały pilniki, zasyzczały „nitowniki,“ zawrzała robota kustarowa i ogarnęła, jak pożar, okolicę. Po wsiach przynajmniej ziemi nie porzucono, ale pawłowiaacy — ci zupełnie zaniechali roli.“

Nieźle ludziom się wiodło. Żywili się dobrze, łapcie zarzucili a powdziwiali buty. Produkowali, ile kto zdołał; potem zjawili się kupecy i nabywali towar. Nieraz i sam majster własnym koniem odstawiał go do „Niższego.“ Pozazdrościł im tego szczęścia znowu — dyabeł. Był w Pawłowie powien majster, który nie lubiał pracować nad siły, a chciał, żeby mu pieniądze sypały się same. Dlatego też ich nie miał. Nawiedził go raz czart. „Dam ci radę — powiada. W poniedziałki wstawaj wcześniej, a za to cały tydzień śpij, ile zapragniesz. Będiesz miał z tego grosiwo. Zrób tylko sobie szopę przy ulicy a zameczystą.“ Usłuchał. Raz w noc zimą, gdy pierwszy kur zapiał, a lud jeszcze spał, budzi szatan majstra. „Wstawaj, zaświeć!“ Wzięli latarkę, wyszli na ulicę, otworzyli śpichrz pusty, postawili światło na stole, a sami usiedli i czekają. Latarka świeci na pustą ulicę, a lud śpi, niczego nie przeczuwając. „Co z tego będzie — myśli majster. Po co siedzieć w pustym śpichrzu, złożysz ręce i czekać, aż same przyjdą pieniądze?“ Nic nie wskórali, ale wieść już się rozeszła i w następne poniedziałki lud, jak omy, zaczął lecieć do światła. Pierwszy dali początek pochmielcy. Oddawali zamki za wódkę, a szatan, trącając w bok majstra, szeptał: „bierz!“ Przykład pociąga. Wydało się kustarnikom wygodniejszem powierzyć stosunki bezpośrednio z rynkiem kupcom. „Niech oni sobie wożą tam, a my będziemy tymczasem pracować.“ Szatanowi w to tylko graj.

— Teraz — powiada kustar Korolenko — kołaczę, kołaczę cały tydzień młotkiem, a spytajcie mnie, gdzie mój zamek idzie, do jakiego kraju, do jakich narodów, za jaką cenę — nie wiem — wie kupiec tylko. Przyniosę mu — przebiera: za darmo teraz tego nie weźmie. „Jaż cały tydzień pracowałem — powiadam — i robotników żywilem.“ „Nie, dosyć — teraz innego żądają.“ A ceny!.. Ochoczy jestem do roboty. Tydzień pracuję, wstaje o trzeciej, kładę się o jedenastej; kołaczę młotkiem; śpię. Przyłożę głowę do poduszki — śpię jak kamień. Przyjdzie sobota, trzeba się cieszyć, śpij, wypoczywaj. Ale gdzie tam do

snul Oczy się nie kleją, całą noc niepokój: co w poniedziałek będzie, czy nie spadną ceny, czy wezmą towar? Takie to sprawy... Nie udało się dyabłu z początku, aż wreszcie swoje zrobił. Prawdziwe piekło dla brata naszego nie w fabryce i nie w kuźniach naszych, ale w sprzedaży poniedziałkowej.

Naiwna jest ta legenda, ale w jej mgłę błąka się prawda. Nie tą drogą, o której ona mówi, wyrasta z kustara „kułak-przekupień,” nie drogą lenistwa, jak zobaczymy niżej, po raz pierwszy zjawia się on na widowni świata drobnoprzemysłowego, ale jest poniekąd — chociaż fantastycznym — odbiciem rzeczywistości. Kustar czuje, że przykuty na całe życie do śrubsztaku, stać musi wobec rynku z jego żywiołowością, jak wobec siły niezbadanej, wszechwładnej, nieubłaganej, jak wobec nieprzeniknionych wyroków woli boskiej i czując to, ucielesnia ją w złym duchu, w szatanie, w jego potomstwie i posłusznym narzędziu — w przekupniu.

(D. n.)

Z. Atanazy.

## KRONIKA.

**Sprawy społeczne.** Sale zarobkowe, utworzone sposobem próby przy szpitalu Wolskim, obecnie tak się już rozwinęły, że w oddziale kobiecym wszystkie miejsca są zajęte, a w męzkim zaledwie kilka jest wolnych.

— Dorocznym zwyczajem w sali ratuszowej urządzono „Gwiazdkę” na cele dobroczynne.

— *Peterb. wiedz.* donoszą o utworzeniu wszechrosyjskiego bractwa prawosławnego, w celu zabezpieczenia bytu duchowieństwa, podniesienia moralności ludu i przeciwdziałania odszczepieństwu.

— W Petersburgu powstaje spółka prywatna, która wyrabiać będzie mapy geograficzne przy pomocy fototypii. Zmniejszy to znacznie koszty wydawnicze map wogóle i uprzyjętni je ludzior niezamożnym.

— W Lubawie (Prusy zachodnie) koncert, urządzony przez towarzystwo polskie na rzecz biednych dzieci, przyniósł czystego zysku 127 marek, dzięki tylko temu, że Niemców na koncercie było więcej niż Polaków.

— Opracowano ogólny projekt reformy ochrony dla dzieci w Rosyi. Instytucje te przekształcone będą na specjalne praktyczne szkoły rzemieślnicze.

**Szkoły.** W Lipnie otwarto dwuklasową szkołę żeńską z klasą wstępną.

— Postanowiono nakazać studentom wszechnicy dopackiej noszenie uniformu.

— W Petersburgu postanowiono utworzyć instytut farmaceutyczny dla przygotowania kobiet aptekarek.

— Przy krakowskiej szkole przemysłowej powstaje kurs o przemyśle naciarskim. Minister oświaty przyznał kwotę 300 złr. na zakupienie odpowiednich aparatów.

**Sprawy kolejowe.** Departament kolejowy zobowiązał Towarzystwa dróg żelaznych, aby bezustannie zwracały uwagę na wykazywane w prasie nieprawidłowości, nieporządki, nadużycia i następnie przeprowadzały za każdym razem surowe śledztwo, stosowały odpowiednie środki zapobiegawcze, wymierzały kary na winnych lub prostowały w gazetach fałszywe wiadomości. Milczenie Towarzystwa uważane będzie jako dowód prawdziwości podanego przez dzienniki faktu i pociągnie ze strony ministerstwa surowe kary.

**Zjazdy.** W Petersburgu odbędzie się wkrótce zjazd przedstawicieli międzynarodowej komunikacji bezpo-

średniej Rosyi z Austrią, w celu przejrzenia międzynarodowej taryfy tych dwu państw.

— W Budapeszcie odbędzie się na wiosnę drugi międzynarodowy kongres ornitologów. Pierwszy był w Wiedniu przed sześciu laty.

— We Lwowie odbył się doroczny zjazd delegatów Towarzystw zaliczkowych i zarobkowych.

**Bibliografia.** *Duchy czarnego boru czyli kamienne serce*, powiastka dla ludu, str. 50, Warszawa.

— K. Duleba. *Ratowanie bydłęcia odętego*, str. 15, Warszawa.

— K. Duleba. *Tanie a dobre narzędzia rolnicze dla włościan*, str. 37, Warszawa.

— Tomasz A. *Trójlístek*, obrazki sceniczne dla młodocianego wieku, str. 63, Warszawa.

— T. Nicolay. *Dzieci źle wychowane*, opracował E. Lubowski, str. 491, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— *Kalendarz Ungra*, najstarszy z tego rodzaju wydawnictw.

— *Kalendarz Łódzki*, zawiera głównie informacje miejscowe i ogłoszenia.

**Zmarli.** Edward hr. Tomaszek, w Wiedniu, członek Izby panów, b. szef sekcyny w ministerstwie oświaty; w r. 1838 profesor prawa w uniwersytecie lwowskim i następnie wiedeńskim.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

*Panu Moll.* Czy ten portret był dziełem sztuki, czy może zwykłą litografią? Przy zdaniu wyrażonem wówczas o utworach artystycznych trwamy dotąd.

*Panu M. w Lublinie.* Szan. Pan się omylił, gdyż nie my mamy proces z p. P., ale redakcja *Głosu*, nadesłane więc dokumenty na nie przydać się nam nie mogą.

*Panu I. I. Lit. w Warszawie.* W tej formie, jako prosty przekład — nie, ale jako materiał użytkujemy przy sposobności.

*Panu Wl. Gr.* Drugiej części „Oksany” drukować nie możemy.

## O G Ł O S Z E N I A.

### P. A. KRZYMIŃSKI SKŁAD WIN

od roku 1829 egzystujący

w Warszawie, ulica Wierzbowa № 3, dom hr. Krasieńskiego

Wina lecznicze, Koniaki prawdziwe poleca.

### Na Gwiazdkę.

**Świąteczko**, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez gro- no autorów polskich, w ozd- obnej oprawie, z drzeworytami w tekście. Najlepsza w tym ro- dzaju w literaturze polskiej. — Str. 274, rs. 1 kop. 80.

**Prus Bolesław**, *Szkiecy i Obrazki*, tomów cztery, z portretem au- tora — rs. 5, w ozdobnej opra- wie rs. 6 kop. 20.

**Chmielowski Piotr dr.**, *Autorki polskie wieku XIX*, studium literacko-obyczajowe, ozdobio- ne sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2 k. 50.

Do nabycia we wszystkich księ- garniach.

### SPÓŁKA NAKŁADOWA

zawiadamia, że staraniem jej wyjdzie wkrótce:

### Śpiewnik dla dzieci

słowa Maryi Konopnickiej, muzyka Zygm. Noskowskiego.

HENRYKA HEINEGO

### Wybór pism

tom II-gi:

(Podróż po Harzu — Włochy) w prze- kładzie Maryana Gawalewicz, Cezarego Jellenty i Maryi Konopnickiej.

### SZKICE

#### Adama Szymańskiego

tom pierwszy. Wydanie drugie wyszło z druku. Cena rs. 1. Na- bywający książkę u autora: Pe- tersburg, Zacharjewskaja Nr. 11, m. 2, kosztów przesyłki nie po- noszą. Księgarniom 33%. Tom 2-gi do nabycia we wszystkich księgarniach.

Nagrody z Wystaw za skuteczność: Warszawa 1885, Warszawa 1886. Kra- ków 1887, Symferopol 1888.

W TYSIĄCE ŚWIADECTW!!  
PEWNY ŚRODEK  
„EXSICCATOR”  
OSUSZA WILGOĆ,  
ZABEZPIECZA DRZE-  
WO D GNIA, GRZYB  
KA I p. — BROSZUR  
KA ILLUSTROWANA  
BEZPŁATNIE  
POSZUKUJE  
AGENTÓW.  
Wyn. Inż. G. Ritter.  
KRÓLEWSKA 39.

Uwaga. Upraszam o zwrócenie uwagi na markę fabryczną, gdyż wiele pojawiło się fałszyfikatów.

### KSIĘGARNIE

Gebethnera i Wolffa w Warszawie i Br. Rymowicza w Petersburgu

polecają nowe nadzwyczajnie tanie wydanie

### POEZYJ

## ADAMA MICKIEWICZA

w czterech tomach,

poprzedzone życiorysem skreślonym przez dr. Piotra Chmielowskiego i ozdobione portretem autora rysunku Horowitza.

*Sprzedaje się we wszystkich księgarniach miejscowych i na prowincyi.* Cena 4-ch tomów kop. 80, w ozdobnej oprawie w płótno angielskie rs. 1 kop. 50. — Za przesyłkę w obrębie Królestwa po kop. 20, w gu- berniach bliższych Cesarstwa kop. 40, a w dalszych kop. 60 od egzem- plarza dołączać trzeba.

## Wydawnictwa „Prawdy.”

J. Brandes. *Główne prądy literatury XIX* w., tomów cztery, tłum. K. Lewald rs. 6.

**Ekonomia polityczna** według najznak- mitszych badaczy niemieckich uło- żona — rs. 3.

L. Liard. *Logika*, tłum. K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. *Spółczeństwa zwierzęce*, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socjologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzie- la abonenci *Prawdy* nabywać mo- ga za połowę ceny. Na koszt przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

E. Taylor. *Zmyślność i moralność ro- ślin* (w oprawie) — rs. 1 k. 50.

L. H. Morgan. *Spółczeństwo pierw- tne*, czyli badanie kolei ludzkiego po- stępu od dzikości przez barbarzyń- stwo do cywilizacji, przekład A. Ba- kowskiej — rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 50).

J. Barni i A. Krzyżanowski. *Męczennicy myśli* (w oprawie) — rs. 1.

W. Ochoński. *Dramaty* (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za ma- ską) — rs. 1.

— *O życie*, powiastki: Chawa Rubin, Karł Krug, Damian Capenko — k. 50.

— *Klemens Boruta*, powieść — k. 40.

— *Niewinni*, dramat w trzech aktach — k. 80, z przesyłką rs. 1.

Dr. Azam. *Charakter w zdrowiu i w cho- robie* — rs. 1.

N. Hirszbard. *Byron* w urywkach — rs. 1 kop. 20 z przesyłką rs. 1 k. 25.

Dr. F. Rajkowski. *Poradnik lekarski* wraz z apteką domową (w oprawie), rs. 1, z przes. rs. 1 k. 20.

K. Lewald. *Historia XIX w.* od r. 1800 — 1888 — rs. 3 k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.

E. B. Tylor. *Antropologia* z ilustracy- mi, w przekładzie A. Bakowskiej — rs. 2., z przesyłką pocztową rs. 2 kop. 25.